

Rozdział 10: Droga do wolności

1. Działanie pewnego intendenta. 2. „Szaleniec, którego zabili”. 3. „Don Manuel wie więcej”. 4. Wyjazd z Madrytu. 5. Pobyt w Barcelonie. 6. Róża z Rialp. 7. Chata Świętego Rafała. 8. Przejście przez Pireneje. 9. W Andorze.

28-08-2018

Droga do wolności

1. Działania pewnego intendenta

Don Josemaría energicznym krokiem wyszedł na ulicę, nie zważając na to, że ubranie, które otrzymał od konsula, jest na niego nieco zbyt obszerne. Nosił czystą koszulę i starannie zawiązany krawat, co było wówczas zewnętrznym znakiem tych nielicznych osób, które mogły jeszcze przemieszczać się po Madrycie pewne własnego bezpieczeństwa i zaopatrzone w mocne dokumenty. Taki ubiór był właściwy obcym dyplomatom i przedstawicielom władz cywilnych. Z flagą w klapie i zaświadczeniem, że pracuje dla pewnej amerykańskiej republiki, don Josemaría po raz pierwszy od ponad roku mógł stosunkowo bezpiecznie spacerować po swoim starym, dobrym Madrycie. Jeśli dodamy do tego bladość spowodowaną wieloma miesiącami w zamknięciu, któż mógł rozpoznać w tym człowieku o wyglądzie wygłodniałego biurokraty dawnego rektora Świętej Izabeli?[1]

Jak tylko opuścił konsulat, skierował się do domu Isidora, gdzie mógł spotkać się z Manolem Sainz de Terreros, z Chiquim oraz z Rafaelem Calvo Sererem. Ten ostatni przyjechał do Madrytu na dwudniową przepustkę, wyłącznie po to, by zobaczyć się z Ojcem i zaraz potem wrócił do Walencji, by wstąpić do Brygad Międzynarodowych, gdzie dostał przydział wojskowy. Chiqui spędzał kilka dni w Madrycie, zanim znowu wrócił do wojsk stacjonujących w Andaluzji[2].

Sposób postępowania nowego intendenta wymagał wiele naturalności, odwagi i zdecydowania w działaniu. Pierwszym jego krokiem był wynajęcie pokoju, wyszukanego dlań przez ojca Eduarda Alastrué[3]. Znajdował się on w mieszkanku na ulicy Ayala 67, na czwartym piętrze po lewej stronie. Don Josemaría zwykł mieć w domu wizerunek Najświętszej Maryi

Panny, na który mógł od czasu do czasu spoglądać z miłością. Zauważył więc natychmiast, że tam nie było żadnego obrazka tego rodzaju.

Widząc to, skierował się do centrum Madrytu, do sklepiku na placu Ángel, gdzie spodziewał się znaleźć tego rodzaju asortyment. Na wystawie zobaczyć można było jedynie ramy i lustra. Kiedy poprosił o obrazek Najświętszej Pani – przedmiot wówczas zakazany i niebezpieczny – po drugiej stronie lady zapanowało małe zamieszanie. Żeby przekonać właściciela sklepiku o swoich dobrych intencjach, a także o tym, że nie jest policyjnym szpiclem, pokazał mu legitymację obcego przedstawicielstwa. Wówczas ów człowiek, nie bez strachu, sprzedał mu litografię przedstawiającą Matkę Boską Bolesną i wyraźnie zdenerwowany wręczył mu ten zakazany przedmiot[4].

Następnego dnia z polecenia jednego z przyjaciół José Maríi Gonzáleza Barredo zjawił się w Poselstwie Panamy poprosił – i otrzymał – zaświadczenie na nazwisko „Ricardo Ecsribá” dla Juana Jiméneza Vargasa, który w dwa dni później zamieszkał wraz z Ojcem na ulicy Ayala. Poprzez rzekome usługi dla dwóch republik amerykańskich, zaopatrzeni w fałszywe dokumenty, zaczęli uchodzić za braci[5]. Przynajmniej taki był ich zamiar. Juan, używając starej recepty od okulisty, zamówił u optyka parę ciemnych okularów, które odebrał Isidoro. Miało to być całe jego przebranie.

Jednak napotkano na trudność nie do przewyciężenia. Juan nie zgadzał się traktować swego nowego krewnego w sposób naturalny. I chociaż Ojciec nalegał, by Juan mówił do niego *per* „ty”, jeśli rzeczywiście mieli uchodzić za braci, nie zdołał go do tego namówić. Poczucie synostwa

wobec Ojca zapuściło tak głęboko korzenie w duszy Juana, że nawet próba zmiany sposobu odnoszenia się do niego była ponad jego siły. Przez usta nie przechodziły mu odpowiednie formy gramatyczne. Jeśli chodzi o pozostałe sprawy, wszystko było możliwe. Fizycznie nie różnili się aż tak bardzo od siebie. Chociaż Juan był niższy i z natury znacznie szczuplejszy, to teraz ważył o dwa kilo więcej od don Josemaríi.

W tych pierwszych dniach września ksiądz codziennie spotykał się ze swoją rodziną oraz z ludźmi z Dzieła. Zwykle jadał obiady z donią Dolores. Ale 4 września wszyscy ludzie z Dzieła, którzy mogli swobodnie poruszać się po Madrycie, spotkali się w restauracji „Heidelberg”. W 1933 i 1934 jadali tam wspólnie w dni świąteczne. W ten sposób starali się ożywić przeszłość. W lokalu niewiele się zmieniło. Nieco więcej zmieniła się obsługa. Jeszcze więcej – menu –

bardzo skromne. Najbardziej zmieniły się ceny: każde danie kosztowało pesetę. (Pisząc na temat tego obiadu, Ojciec nie wyszczególnił liczby dań. Można przypuszczać, że były to dwa dania oraz deser, bo chociaż był bardzo surowy dla swego żołądka, nie narzucał przymusowych postów swoim synom)[6].

List wspólny episkopatu hiszpańskiego na temat prześladowań religijnych, datowany na 1 lipca 1937 i opublikowany w sierpniu tego roku, wywarł poważny wpływ na ukształtowanie się międzynarodowej opinii publicznej[7]. W strefie republikańskiej uczyniono wszystko, co tylko było możliwe, by wyciszyć oskarżenia i przeciwstawić się zarzutom. Jego publikacja przyniosła błogosławione skutki, gdy chodzi o powstrzymanie prześladowań, które

prowadzone były od chwili wybuchu wojny domowej[8].

W rządzie Negrína*, utworzonym w maju 1937 roku, na stanowisku ministra sprawiedliwości zasiadał nacjonalista baskijski, katolik, Manuel Irujo[9]. Irujo starał się przekonać rząd republikański, jak wielkie straty ponosiła Republika w wyniku tego nieludzkiego traktowania Kościoła. Przedstawił nawet odpowiedni projekt legislacyjny, który miał zapewnić przywrócenie kultu i zapewnić tolerancję religijną. Jego koledzy z rządu nie wsparli samotnych wysiłków ministra sprawiedliwości, chociaż wykorzystali jego działania, by ogłosić na forum międzynarodowym, w celu czysto politycznym, że podjęli odpowiednie środki, które niestety nigdy nie przestały być wyłącznie projektami. Tak więc nadal utrzymywała się wrogość względem katolików, teraz

nieco bardziej skrywana, ale nadal bardzo niebezpieczna, a Kościół nadal trwał w podziemiu[10]. Dane, którymi dysponujemy, pokazują, że tym okresie zostały praktycznie wstrzymane egzekucje oraz uwięzienia księży i zakonników. Systematyczne polowania prowadzone w pierwszych miesiącach wojny osiągnęły swój cel i zostały złagodzone. Kult katolicki miał charakter tajny, a posiadanie książek i wizerunków religijnych traktowane było jak akt wrogi wobec Republiki. Najstraszniejszy atak burzy wprowadził wielu duchownych w szeregi męczenników, a ci, którzy przeżyli, znajdowali się w więzieniach lub pozostawali w ukryciu od wielu miesięcy, niektórzy z nich zagubieni w wielkich miastach, gdzie heroicznie sprawowali swą posługę, ryzykując uwięzieniem i męczeństwem. Jednym z nich był don Josemaría[11].

Celem jego pierwszych wędrówek było zebranie informacji na temat jego synów. W Poselstwie Norwegii, na ulicy Abascal, schronił się Vicente Rodríguez Casado. Kiedy niespodziewanie zjawił się tam Ojciec, Vicente nie rozpoznał go, dopóki nie usłyszał jego śmiechu. Od tej chwili widywali się niemal codziennie. Spotykali się na portierni i stamtąd udawali się do garażu, by porozmawiać. Kiedy już dobrze usadowili się w jednym z samochodów, Ojciec prowadził przeznaczoną specjalnie dla niego medytację[12].

Don Josemaría odwiedził także rodzinę Ricarda Fernández Vallespína, w której otrzymał dobrą wiadomość, że dotarł do nich odesłany z Francji list od Ricarda, informujący, o tym, że ma się on dobrze. Spotkał się też wkrótce z José Marią Albaredą w pensjonacie znajdującym się przy ulicy

Menéndez y Pelayo. Od początku wojny domowej ten dobry przyjaciel wiele zrobił dla Dzieła, a Ojciec w tych dniach w szczególny sposób polecał w swoich modlitwach sprawę jego powołania do Opus Dei. Zaraz po jego przyjsciu pojawil się tam także Tomás Alvira, przyjaciel Albaredy, i ksiądz miał okazję do szczerej rozmowy z nimi oboma[13].

Potem odwiedził wszystkie rodziny, które hojnie ofiarowały mu schronienie w najtrudniejszym okresie: Leyvów i Herrero Fontanów, chcąc ich poinformować o swoim nowym adresie i zaofiarować im swoją posługę jako kapłan[14]. Don Josemaría starał się, by każdego dnia odprawić mszę, roznosząc potem Komunię Świętą tym, którzy sobie tego życzyli. Jego siostra Carmen zrobiła dla niego maleńki korporał, aby mógł trzymać w nim Najświętszy Sakrament w metalowej papierośnicy, otulonej pokrowcem w

kolorach flagi Hondurasu. Bywały noce, gdy ksiądz leżał w ubraniu, pogrążony w modlitwie, trzymając hostie na piersi[15].

Jedną z osób, które widywał dość często, był don Ramón del Portillo, ojciec Álvара, który był wtedy ciężko chory. Rodzina rozproszyła się. Niektórzy jej członkowie znajdowali się w strefie narodowej. Matka Álvара, urodzona w Meksyku, schroniła się w mieszkaniu należącym do Ambasady Meksyku w Madrycie. Była to bardzo dzielna kobieta, która czekała na śmierć męża wraz z dwojgiem małych dzieci, Teresą i Carlosem, tymi samymi, które chodziły do konsulatu, aby odebrać listy Ojca do Isidora. Nie wszyscy ludzie, którzy tam znaleźli schronienie, byli godni zaufania. Uprzedzając możliwy donos, gdy tylko w domu pojawiał się don Josemaría, dzieciaki krzyczały – tak, aby mogli usłyszeć je sąsiedzi – Idzie

pan doktor! Idzie pan doktor! Malcy bawili się w ten sposób, ale ani oni, ani Álvaro nie zdawali sobie sprawy z powagi stanu chorego. Poza tym, nie mając dokumentów, aby móc swobodnie poruszać się po Madrycie, Álvaro nie mógł ryzykować opuszczenia konsulatu[16].

W tych dniach Albareda opowiedział Ojcu, że pewien jego znajomy, Díaz Ambrona, schronił się w Ambasadzie Kuby, a jego żona urodziła córeczkę w „Sanatorio Riesgo”, które znajdowało się wówczas pod opieką ambasady angielskiej. Małżonkowie szukali wówczas kapłana, który mógłby ochrzcić noworodka.

Albareda zawiadomił ich, że don Josemaría jest gotów to zrobić i uzgodnili, że chrzest odbędzie się w oznaczony dzień o siódmej wieczorem. Wydawało się, że nie jest konieczne przypominać o koniecznej w tym wypadku dyskrecji. Jednak tego samego dnia okazało się, że pan

Díaz Ambrona, prawdopodobnie z powodu wielkiej radości z ojcostwa, zaprosił także inne osoby poza rodzicami chrzestnymi, zapominając o okolicznościach konspiracji, w których się nadal znajdowali.

Wiedząc o tym, don Josemaría zjawił się dwie godziny wcześniej. Ochrzcił dziecko i pożegnał się z rodzicami, chociaż ci starali się go zatrzymać na święto rodzinne. Ponieważ już wkrótce mają zostać ewakuowani – powiedział im – będą mogli dopełnić ceremonii w jakiegokolwiek parafii[17].

8 września José María Albareda poprosił o przyjęcie do Dzieła[18]. Dla jego przyjaciół, Tomása Alviry oraz innych znajomych, których udało mu się odnaleźć w Madrycie, ksiądz postanowił poprowadzić rekolekcje, ćwiczenia duchowe podobne do tych, jakie odbywały się w akademiku przy Ferraz, chociaż nie mieli do dyspozycji kaplicy ani

tarasu, gdzie można było spacerować w wolnych chwilach. Nie mieli też żadnej pewności, że nie zaskoczy ich rewizja policji i wszyscy nie wylądują w więzieniu. W liście z 10 września Ojciec opowiadał tym, którzy przebywali w Walencji, co zdarzyło się w ciągu tego pierwszego tygodnia, który spędził poza konsulatem:

Madryt, 10 września 1937.

Choć nie mam dziś wielkiej ochoty, chwycę jednak za pióro. I nie dlatego, że nie mam chęci, ale dlatego, że zaszło tysiąc drobnych rzeczy, które jeśli się tylko zdekongcentruję, zupełnie zepsują mi humor.

Álvaro – biedny chłopak – przeżywa teraz bardzo ciężkie chwile, ponieważ jego ojciec, który został w Madrycie wraz ze swoją żoną (matką Álvaro) i dwojgiem małych dzieci (dziewięcio- i jedenastoletnim), kiedy cała rodzina opuściła Hiszpanię, jego ojciec

właśnie jest poważnie chory na gruźlicę krtani. Czy domyślacie się teraz całej sytuacji? Mama Álvaro jest bardzo energiczna, ale w tych okolicznościach nie jest w stanie, biedaczka, obejść się bez swego syna. Zobaczymy, jak to wszystko się rozwiąże.

Ricardo i Josemaría mieszkają w pokoiku na poddaszu, który wynajmują – za bardzo małe pieniądze – w dzielnicy Salamanca. Josemaría je obiady z babcią, a Ricardo z moim synem José Marią Albaredą. Jeśli chodzi o śniadania... No cóż! A kolacje? Ach, czy to prawda, że w ogóle jada się kolacje?

Tu przesyłam Wam prawdziwy portret mojego brata, takiego jakim jest: wypisz wymaluj, jak powiadają.

W tych dniach, wariat ma zamiar wygłosić kilka wykładów, takich jakie dawał w swoim domu, spacerując po poddaszu. Zapewnia, że będzie go

słuchać od siedmiu do dziewięciu profesorów uniwersytetu. Jak to on. Jak dla mnie, chciałbym, żeby to powtórzył, a nawet, żeby potroił.

Dość często wychodzę i zajmuję się rzeczami, które zawsze lubiłem. Ponieważ jestem staromodny, kontynuuję moje dawne zwyczaje: woda, wino, chleb, bez ustanku. Poza tym – to są przywileje starości – wysłuchuję zwierzeń i udzielam porad, bardzo rozsądnych z powodu doświadczenia, jakie dają lata, całej tej dzieciarni – a nawet tym, którzy już nie są dziećmi. Moje nogi? No, jak na razie, bez reumatyzmu. Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymają.

Ósmego przyszedł do mnie José María Albareda, aby prosić mnie o pozwolenie wejścia do naszej rodziny: ponieważ jest oficjalnym narzeczonym, poważnym człowiekiem z przyszłością, przystałem. Powiedzcie o tym donii Maríi, aby ona

też zainteresowała się tymi amatorami, dobrze?

Bardzo Wam dziękuję za Wasze powtarzające się prezenty, które rozwiązują nasze problemy gastronomiczne, pojawiające się w środku dnia. Jednak dziadek nie chciałby, żebyście czynili jakieś wyrzeczenia materialne. Na pewno jest to więcej niż mogliście zrobić. Nie życzę sobie tego – w żadnym wypadku – byście odmawiali sobie czegokolwiek z naszego powodu. Czy to jasne?

Rafał! Macie jakieś wiadomości o nim? Z jaką radością go uściskałem i jak bardzo mi żal, że wyjechał! Dajcie mi znać!

Nic do mnie nie pisze Lola. Jestem gotów do nich pojechać w towarzystwie don Manuela. Czekam.

Bardzo się martwię o Álvara.

Piszcie do mnie dużo. Przyjmijcie wszyscy trzej (a może jacyś jeszcze nienarodzeni?) mocne uściski od Waszego dziadka,

Mariano.

Mój brat powiada, żebyście pamiętali o jego ćwiczeniach[19].

2. „Szaleniec, którego zabili”

Od momentu, gdy donia Dolores przepowiedziała, że wielkie narodowe nieszczęścia skończą się 25 lipca – w święto świętego Jakuba Apostoła, patrona Hiszpanii – minął już z górą rok wojny. Latem 1937 oddziały narodowe zajęły wybrzeże kantabryjskie i, zdobywszy Santander, zakończyły operację usuwania sił republikańskich z Asturii, przyłączając w ten sposób całą północ Półwyspu Iberyjskiego do swej strefy. Rząd Negrína utracił przewagę liczebną jeśli chodzi o wojsko, a wyrównanie sił

zapowiadało przedłużenie wojny. (Optymiści jednak nadal uważali, że jej koniec jest już bliski).

Założyciel Opus Dei śledził w myślach wydarzenia ostatnich miesięcy. Najbardziej widoczne było to, że głód dławił coraz mocniej ludność Madrytu. Jak wiele wycierpieli w więzieniach jego synowie! W więzieniu San Atón znaleźli się na kilka miesięcy Álvaro i Chiqui. Czasami milicjanci, znęcając się nad nimi, dawali im do jedzenia nawet ludzkie ekskrementy[20]. Na początku września 1937 roku, po przewyciężeniu tysięcy trudności, Chiqui znowu znalazł się w Madrycie. Opalony i świetnie wyglądający, korzystał z kilku dni przepustki z wojska. „Chiqui ma się świetnie - pisał Isidoro w radosnym tonie – nawet utył, ponieważ zachowuje się jak chomik. Je w koszarach, a potem chodzi do domu, żeby zjeść drugi posiłek. Nie chce,

żeby ktoś zjadał jego jedzenie w koszarach”[21].

Czy nie należało podziękować Panu, że pozbierał wszystkich jego synów, którzy znaleźli się w strefie republikańskiej? Ojciec miał nawet dobre wieści od Ricarda, który już znalazł się po stronie narodowej. Nikt wtedy nie wiedział o tym, że Ricardo uciekł cudem, przechodząc w nocy dwie linie frontu, dokładnie na kilka dni przed nadejściem z Madrytu rozkazu zatrzymania go jako „faszysty”[22].

Byli jednak także zabici, zaginieni i zamordowani. Niewiele było rodzin, których nie dotknęło jakieś nieszczęście. Tak też się stało w przypadku Dzieła. Pepe Isasa padł na froncie. Manolo stracił dwu braci, jednego w czasie działań wojennych, drugiego zamordowano. Ojciec i jeden z braci Albaredy zostali zamordowani w Caspe, gdzie

mieszkali, zaraz po wybuchu wojny...

[23]

Wśród niewygód, jakie musiał znosić w zamknięciu, szczególnie uciążliwe było dla księdza Josemaríi obcowanie z brudem, chociaż nigdy nie brakowało mu wody i mydła oraz innych środków czystości koniecznych do uwolnienia się od – jak powtarzał za świętą Teresą – „tego paskudztwa”: pluskiew, wszy i pcheł. Mimo ciężkich wysiłków azylantów nie udało się łatwo wyprzeć „pipis” (pcheł) z konsulatu. A jeśli weźmiemy pod uwagę warunki panujące w tym pokoiku, który dawniej służył za skład węgla, to dojdziemy do wniosku, że prawdziwymi intruzami byli tam uchodźcy. (Santiago, sąsiad Ojca z jednego materaca, kiedy ten opatrywał listy do tych z Walencji nagłówkiem „Tegucigalpa”, poprawiał go spokojnie: „Pipisjagua*”). Te zwierzątka jednak

nie wycofały się całkiem. Poza „paskudztwem” mnożyły się także inne robaczki[24].

Pokój, jaki zajmował Ojciec wraz z Juanem, z dwoma materacami położonymi na podłodze, był o wiele lepszy. Miał wielką zaletę, gdyż był wyposażony w łazienkę. Nie było tu uciążliwego rozkładu godzin i długich porannych kolejek, znanych z konsulatu. I chociaż poranki pod koniec lata zaczynały się robić chłodne, ksiądz nigdy nie zaniedbywał kąpieli w zimnej wodzie. Nie robił tego dla przyjemności, tylko dlatego, że nie było tam prysznic. Tego rodzaju umartwienie nie było godne polecenia dla niedożywionego organizmu[25]. Jego organizm, wycieńczony z powodu głodu oraz psychicznego zmęczenia, było na skraju wyczerpania, zagrożone atakami reumatyzmu lub wystąpieniem cukrzycy, której

pewne objawy już zaczynały się pojawiać. Musiał na przykład bardzo często oddawać mocz. Możliwe, że w milczeniu zniósł kilka ataków gorączki, bo w liście z lata 1937 czytamy: *W Madrycie jest wyjątkowo gorąco i odczuwa się upał jak nigdy. Paradoks polega na tym, że czasami jest mi zimno i muszę owijać się w grubą kapę od łóżka, zanim nie dojdę do siebie. To są sprawy żołądkowe, bez żadnych wątpliwości*[26].

W porze obiadowej don Josemaría udawał się na ulicę Caracas, gdzie mieszkała rodzina Escrivów. Wieczorami często wychodził na spacer wraz z matką. Donia Dolores mogła się więc przyzwyczaić do wymizerowanej twarzy swego syna, którego nie mogła poznać podczas odwiedzin w konsulacie kilka tygodni wcześniej. Cierpienia i wyrzeczenia odcisnęły swoje piętno na mieszkańcach Madrytu. Także donia Dolores posiwała. Syn widział

na twarzy matki odcień pogodnie znoszonego cierpienia. Przywodził mu on na myśl wizerunek Matki Boskiej Bolesnej, który kupił na placu del Ángel. Matka i syn mogli teraz rozmawiać bez obaw o minionym cierpieniu i niebezpieczeństwach. W umyśle księdza przewijały się wspomnienia.

Ta przeszłość, tak nabrzmiała wydarzeniami dla nich obojga, sięgała zaledwie 20 lipca 1936 roku, gdy don Josemaría zjawił się w domu swej matki, ubrany w roboczy kombinezon, tak by nie wiedzieli o tym sąsiedzi. Niedługo potem zaczęły płonąć podpalane kościoły i klasztory, zaczęło się polowanie na księży. Nie można było liczyć na lojalność służby, przecież w sąsiedztwie mieszkało kilka komunistek i – wedle świadectwa jego brata – „ktoś z domu doniósł, że w naszym mieszkaniu ukrywa się ksiądz i trzeba go zabić”[27].

Jak wiemy, don Josemaría musiał w pośpiechu uciekać w kilka dni potem, ostrzeżony o rewizji. Po niej nastąpiły kolejne. W mieszkaniu piętro niżej, gdzie mieszkali pewien emerytowany wojskowy o nazwisku Paniagua wraz z synem – kadetem (cudem ocalał podczas ataku na koszary Montaña) oraz drugim synem – falangistą, milicjanci aresztowali kilku członków rodziny. Jednak, co najbardziej zagadkowe, od tego czasu nie zaglądali już do mieszkania Escrivów ani nie przeprowadzali śledztwa, chociaż postać księdza – „niedopuszczająca pomyłki, bo znany był z tego, że zawsze chodzi w sutannie” – była bardzo znana w tej dzielnicy[28].

W kilka dni po ucieczce don Josemaríi – wspomina Juan Jiménez Vargas – Escrivowie byli świadkami straszliwego wydarzenia: „zabójstwa dokonanego na ich ulicy o pierwszej w nocy. Usłyszeli głośne krzyki i

myśląc, że to jakiś patrol dokonujący rewizji w domach, wyjrżeli z balkonu po kryjomu, przez szpary w zasuniętych żaluzjach [...]. Zobaczyli kilku milicjantów goniących kogoś, kto nie zdołał im uciec. Zabili go na miejscu, zostawiając ciało na ulicy”[29].

Tego typu uliczne zabójstwa nie były rzadkością. Minęły dwa miesiące od tego wydarzenia, gdy - w październiku 1936 roku, jak opowiada Santiago Escrivá – w mieszkaniu na ulicy Doctor Cárceles zjawily się siostry don Norberta, księdza z Patronatu Chorych.

„Odwiedziły nas – opowiada Santiago – dwie siostry księdza zaprzyjaźnionego z Josemarią – don Norberta, o którym już wspominałem. Zjawily się, prosząc o pieniądze, które – jak twierdziły - byliśmy winni ich bratu. Ponieważ nie była to prawda, atmosfera stała się bardzo napięta, do tego stopnia,

że powiedziały mojej matce – nie wiem, skąd o tym wiedziały - że widziały Josemarię martwego: powieszzonego na drzewie, na ulicy. Wtedy nie mogłem wytrzymać i powiedziałem, na co moim zdaniem zasługują i wyrzuciłem je na ulicę”[30].

Nawet biorąc pod uwagę pewien margines fantazji tych pań, czelność podania tej informacji i makabryczność szczegółów przekraczała granicę tego, co można by było wymyślić. Gadanina sióstr don Norberta nie była czystym wymysłem. Pod tym względem były lepiej poinformowane niż brat don Josemarii. Nie tylko one, lecz i inni sąsiedzi widzieli trupa i nienawiść milicjantów, chełpiących się tym, że powiesili księdza. Tego rodzaju wiadomość w niedługim czasie musiała roznieść się po dzielnicy, zwłaszcza że ciało znajdowało się na widoku wszystkich przechodniów.

Możliwe, że Carmen i donia Dolores przez krótki czas – nawet kilka dni – cierpiały męki niepewności, gdyż wtedy, gdy doszło do tego mordu Josemaría ukrywał się na ulicy Sagasta i czasem mijało nawet kilka dni bez wiadomości od niego. Najbardziej prawdopodobne jest, że do donii Dolores dotarła już wiadomość o tragicznej śmierci syna za pośrednictwem jednego z sąsiadów i matka wraz z córką postanowiły zataić to przed Santiagiem. Ten więc – oczywiście – uznał tę historię za wymysł sióstr don Norberta, bo przecież w październiku don Josemaría znajdował się, cały i zdrowy, w klinice doktora Suilsa[31].

Jako ostatni o swojej tragicznej śmierci dowiedział się sam zainteresowany, który 18 września 1937 pisał do swoich synów w Walencji, jeszcze nie mając pewności,

czy został rozstrzelany, czy powieszony:

Nieco spóźniona wiadomość: powiedzieli mi - osobiście, prosto w oczy - powtórzyli kilka razy, że mój brat Josemaría został powieszony na drzewie, w Moncloa wedle jednych, a na ulicy Ferraz zdaniem innych. Trzeba będzie zidentyfikować zwłoki. Inna wersja śmierci to taka, że został rozstrzelany[32].

Jak to możliwe, że we wcześniejszych niemal 170 listach napisanych w konsulacie, nie wspomina nawet słowem o tej „spóźnionej wiadomości”? Odpowiedź jest bardzo prosta. Do tej pory don Josemaría nie miał bowiem możliwości dłuższej rozmowy z matką. To donia Dolores bez wątpienia przekazała mu rozmaite wersje pogłosek, krążących na temat jego domniemanej śmierci. Nie była to bowiem sprawa, która przypadkowo czy też z czystego

kaprysu przyszła na myśl księdzu, lecz taka, która dla niego, we wrześniu 1937 roku, stała się wiadomością o zaskakującej aktualności i odbiła się echem w całym liście do Walencji:

Wyobraźcie sobie twarz dziadka, gdy dowiedział się o tym. Naprawdę można było życzyć sobie dla takiego szaleńca jak mój brat takiego końca, i w dodatku złożenia w zbiorowej mogile. Czegóż więcej mógłby sobie życzyć biedak, kiedy konający znalazł się w luksusowym pokoju drogiego sanatorium! Źle mówię: umrzeć w ten sposób (zwykły, bez hałasu ani widowiska), jako burżuazyjna świnią, jest w jak najlepszej zgodzie z jego życiem, dziełem i drogą. Tak umrzeć – o don Manuelu ! – ale szalony, umrzeć z Miłości

(Tę ostatnią myśl – przeciwstawienie gwałtownej i spektakularnej śmierci na środku ulicy cichej śmierci w

łóżku, na progu której znajdował się w sanatorium doktora Suilisa – przywołał później w tekście *Drogi*, gdzie wskazuje, że największe bohaterstwo polega na tym, by umrzeć *niepostrzeżenie, w porządnym łóżku, jak porządny obywatel... ale umrzeć na chorobę, która nazywa się Miłość*)[33].

W innym akapicie tego samego listu, chcąc podnieść na duchu pewną osobę, która jeszcze nie podniosła się z bólu spowodowanego śmiercią ojca, znowu powraca do tematu „spóźnionej wiadomości”: *Ja – uśmiechnij się, człowieku! – nie zamierzam umierać: tylko maszerować, maszerować*[34].

(W późniejszych pismach założyciela Opus Dei znajduje się inne odniesienie do tego wydarzenia, w liście z roku 1943, skierowanym do członków Opus Dei:

Ani przed, ani po 1936 roku nie brałem udziału bezpośrednio, czy też pośrednio w działalności politycznej. Jeśli musiałem się ukrywać, ścigany niczym kryminalista, to tylko i wyłącznie z powodu mojej wiary, choć Pan uznał, że nie zasłużyłem na palmę męczeństwa. Przy jakiejś okazji przed domem, w którym mieszkaliśmy, powiesili osobę, którą pomylili ze mną)[35].

Nigdy nie rozpoznana została tożsamość ofiary. Chociaż zmarły niewątpliwie został lepiej potraktowany niż nieznany żołnierz. Nie miał własnego grobu, ale zyskał spoczął w pełnym wdzięczności sercu założyciela Opus Dei i na zawsze pozostał w jego pamięci.

„Wiem – wspomina Javier Echevarría – że modlił się za tę osobę przez całe swoje życie, a jednocześnie prosił Boga o wybaczenie dla tych, którzy dopuścili się tego morderstwa”[36].

Ksiądz zdał sobie sprawę, kolejny już raz, że jego życie nie należy do niego i że Pan zmylił nienawiść jego prześladowców, zapewniając w ten sposób względny spokój jego rodzinie.

3. „Don Manuel wie więcej”

Don Josemaría, który przez cały rok błąkał się między jedną a drugą kryjówką, odczuwał ogromny zapał i potrzebę pomagania duszom – niczym sportowiec, któremu okoliczności przez dłuższy czas nie pozwoliły trenować. Jego zamiary miały rozmaite skutki. Projekt, by udać się do Daimiel samochodem dyplomatycznym w towarzystwie don Manuela (Najświętszego Sakramentu), aby odwiedzić Manuela Fisaca oraz jego siostrę Lolę, nie mógł być zrealizowany. Z tego powodu naprawdę bardzo cierpiał, a można sobie wyobrazić, że uwięzieni w Konsulacie także bardzo

to odczuli. Musiała zająć jakąś poważną przeszkodą, prawdopodobnie związana z pozwoleniami na zaopatrzenie, gdyż 19 września napisał do Daimiel: *Kochana Lolu! Cierpliwości. Don Manuel wie więcej. Szkoda, że nie udało się ta podróż!*[37]

Z kolei rekolekcje dla młodzieży studenckiej i wykładowców udało się przeprowadzić z bardzo dobrym skutkiem. Pierwszą pogadankę mieli 20 lub 21 września rano. Brali w niej udział Isidoro Zorzano, José María Albareda, Juan Jiménez Vargas, Manolo Sainz de los Terreros, Tomás Alvira i Ángel Hoyos. Te spotkania grupy młodych mężczyzn, czy to w domu, czy na ulicy, siłą rzeczy musiały zwrócić uwagę ludzi lub portierów kontrolujących domy. Z uwagi na to Ojciec podzielił więc medytacje, wyznaczył je na różne pory i w różnych miejscach, w ciągu trzech dni trwania rekolekcji.

Czasem korzystał z mieszkania domu Isidora, kiedy indziej z mieszkania donii Dolores na ulicy Caracas, a nawet pensjonatów Alviry i Albaredy, których właściciele byli osobami godnymi zaufania. Ksiądz po półgodzinnej medytacji porannej, wskazawszy na punkty rachunku sumienia i opatrzywszy je kilkoma uwagami, wychodził z domu.

Uczestnicy po kolei udawali się na ulicę lub do parku Retiro, aby rozmyślać, spacerując, lub skoncentrować się na odmawianiu różańca. Po południu, w oznaczonym miejscu i o wyznaczonej godzinie mieli kolejną medytację.

Ostatniego dnia Ojciec odprawił Mszę Świętą w pensjonacie, w którym mieszkał Tomás Alvira, przy ulicy General Pardiñas 28, mieszkania 1C[38]. Właścicielka, donia Matilde Velasco, starannie przygotowała ołtarz, a kiedy ksiądz, w świeckim ubraniu i bez żadnej

szaty liturgicznej, zaczęła odprawiać mszę, ona nie mogła w niej uczestniczyć. Jej zadaniem było pilnować w sieni tych, którzy wchodzili lub schodzili po schodach, aby uniknąć niechcianej interwencji[39]. Pomimo tego, że nie mogła uczestniczyć w tej mszy, właścicielka pensjonatu zauważyła podczas śniadania, które tego dnia zjedli tam uczestnicy rekolekcji coś szczególnego w rozmowie i sposobie zachowania księdza. Zrobiło na niej wrażenie także niezwykle umiarkowanie Ojca, który, przewyciężając swój głód, obracał w dłoni pomarańczę podaną do śniadania i zostawił ją na stole w elegancki sposób, zapominając o niej. Sprzątając ze stołu, donia Matilde wzięła z szacunkiem pomarańczę, której dotknął ksiądz. „Pomarańcza – wspomina Juan Jiménez Vargas - do tej pory jest przechowywana w tej rodzinie, po czterdziestu latach”[40].

W ciągu ostatnich miesięcy pobytu w konsulacie Ojciec podtrzymywał kontakty ze swymi córkami za pośrednictwem Isidora. Ten kilkakrotnie rozmawiał z Hermógenes Garcíą, zalecając kobietom z Dzieła, na polecenie Ojca, by modliły się za niego, ale by nie próbowały się z nim zobaczyć. Wszystko po to – mówił – by zaoszczędzić im zmartwień. Teraz, gdy dysponował pewną swobodą ruchów, mógł oddać się do dyspozycji swoich córek. Zamierzał dla nich powtórzyć rekolekcje, które poprowadził dla mężczyzn[41].

Zbierając informacje na temat dziewcząt z Dzieła, dowiedział się o miejscu pobytu jednej z nich, Antonii Sierra, która znajdowała się w Castellón, niedaleko Walencji. Jak to miało wcześniej miejsce z Marią Ignacią, także z tą umierającą duszą odkupieńczą, chorą na gruźlicę od 1933 roku, don Josemaría związał

wielkie nadzieje. Listownie prosił tych, którzy przebywali w Walencji, by ją odwiedzili:

Tu macie adres jednej mojej biednej wnuczki, chorej i bardzo dobrej, prawdziwego skarbu, z którego od lat korzystał ten szaleniec, którego zabili: „Antonia Sierra. Szpital Sanatorium w Villafranca del Cid.”. Od dłuższego czasu jest przenoszona z jednego szpitala do drugiego. Gdybyście mogli się z nią zobaczyć, byłbym Wam bardzo wdzięczny. Przynajmniej dostarczcie jej 15 peset, które Wam wysłał Ignacio przelewem oraz – jeśli to możliwe – coś, co mogłaby zjeść także chora na zaawansowaną gruźlicę. Jak bardzo by mnie uradowało, gdybyście mogli złagodzić jej cierpienie waszą wizytą! [42]

Rzadko zdarzał się dzień, w którym ksiądz nie odprawiłby mszy i nie powiedział kazania dla jakiejś grupy osób. Wielokrotnie były to

zgromadzenia zakonne. Wobec tysięcy kapłanów zamordowanych w trakcie prześladowań liczba zakonnic, które stały się męczennicami przedstawia się stosunkowo skromnie - nie przekroczyła bowiem trzystu[43]. Zamknięcie ich w więzieniach stanowiłoby nie lada problem, bowiem były one już i tak przepełnione. Dlatego też nierzadko zdarzało się, dzięki znajomościom z policją i sąsiadami, że niektóre zgromadzenia znajdowały schronienie w mieszkaniach prywatnych czy pensjonatach. Pewnego razu, gdy don Josemaría udawał się w odwiedziny do swego przyjaciela don Alejandro Guzmána, do progu jego domu podeszła do niego pewna kobieta, która, ująwszy księdza pod rękę, odprowadziła go w bezpieczne miejsce, gdyż w tej właśnie chwili milicjanci dokonywali rewizji w tym domu[44]. Zaprowadziła go do domu pod

numerem 12 na ulicy Hermosilla, do którego wprowadziła się wspólnota zakonnice Współodkupicielek. Dwie albo trzy siostry, które tam się nie pomieściły, m.in. siostra don Alejandra, zajmowały sąsiednie mieszkanie[45]. Niejeden raz don Josemaría opiekował się nimi duchowo, ponieważ rok później, już w strefie narodowej, z dwiema z nich spotkał się w Ávilii. Jedna z nich rozpoznała go natychmiast i aż krzyknęła zaskoczona: „Przecież to nasz dyplomata!”. Rzeczywiście, don Josemaría starał się utrzymać swój wygląd dyplomaty: w klapie znaczek z flagą honduraską, starannie zawiązany krawat i wielka teczka z herbem Hondurasu, w której znajdował się kawałek suchego chleba na wypadek, gdyby nie zdążył na obiad do domu[46].

Niektóre z tych zakonnice, które były świadkami barbarzyństw dokonanych przez milicjantów, żyły

owładnięte strachem, z całkiem zszarganymi nerwami. Tak było w przypadku tercjarek kapucynek, które w 1936 roku opiekowały się kliniką „Villa Luz” na ulicy General Oraá. Na początku wojny szukały one schronienia w pensjonacie na koszt szcudrego właściciela. W rok później przebywały tam nadal, prowadząc życie klasztorne, nieco rozluźnione. „Bałyśmy się, bardzo się bałyśmy – wyznaje siostra Ascensión Quiroga, jedna z tych, które znalazły tam schronienie. – Aby ukryć naszą zakonną kondycję, ubierałyśmy się i malowałyśmy, tak aby nikt nie mógł na nas donieść. Ja sama trochę przesadzałam, starając się nie tylko ukryć mój stan, ale wyglądać na osobę szczególnie zadbaną”[\[47\]](#).

Przez osobę trzecią poznały don Josemarię, którego zaprosiły i który stawił się w pensjonacie, by umocnić je wewnątrz. Wygłosił dla nich pogadankę duchową na wzór

kazania. „Idee i sprawy, o których nam mówił – wspomina siostra Ascensión – zrobiły na nas wrażenie, trwałyśmy w mocnym postanowieniu, by całkowicie oddać się Chrystusowi, tak jak w dniu naszych ślubów zakonnych”.

Stanąwszy przed nimi, ksiądz mówił: – *Jesteśmy tchórzliwi, boimy się opowiedzieć po stronie Boga.* „Zrobił na mnie wrażenie - opowiada dalej siostra Ascensión – sposób, w jaki prowadził to kazanie: to nie był wykład, była to osobista modlitwa świętego, głośno wypowiedana”. Od tego dnia nie starały się udawać. Od tego dnia więcej już się nie malowały[48].

Z wyjątkiem tych anegdot niewiele wiemy na temat posługi księdza Josemaríi. Niekiedy, będąc w drodze do ukrywających się, chciał, by Juan towarzyszył mu do bramy domu, gdzie mieszkały[49]. Z kolei inne

osoby przychodziły do niego w odwiedziny na ulicę Ayala. Zdarzało się też, że Pan Bóg pozwalał mu spotkać dusze potrzebujące wsparcia w trakcie niekończących się wędrówek po Madrycie. Tak też było w przypadku „tej odłączonej zakonnicy”, której myśli dzięki łasce Bożej udało mu się przejrzeć i odkryć jej ukryte intencje do tego stopnia, że, żałując swego odstępstwa, poprosiła księdza o spowiedź[50].

W swych listach z konsulatu Ojciec starał się wpływać na zmienne nastroje ich odbiorców. Zalecając swym synom cierpliwość bądź mobilizując do szybszego załatwienia sprawy, ale zawsze podnosząc ich na duchu:

Nie upadajcie na duchu i zachowajcie spokój, dobrze? Nie traćcie nigdy panowania nad sobą, z pomocą don Manuela – to jest właśnie duch

właściwy dla naszej rodziny. W ten sposób zawsze mamy radość i spokój. Na tym świecie, poza śmiercią, wszystko można naprawić. A czasem naprawa jest lepsza niż rzecz niewymagająca reperacji[51].

Rozwiązaniem było nie co innego, lecz „zanudzanie” don Manuela, wytrwale znoszenie do niego próśb:

Skoro odwiedzacie mojego starego dobrego don Manuela – napisał do tych z Walencji – przypomnijcie mu, proszę Was, o trzech sprawach, o których ja już z nim rozmawiałem:

1) o ewakuacji do naszego kraju*
mojego biednego, szalonego brata – Josemaríi,

2) o dobrym rezultacie roszczeń
wniesionych już za pośrednictwem
ambasady przed rząd Republiki
Hiszpańskiej,

3. o tym, by wpłynął na duszę babci, aby – jeśli jest to właściwe – była gotowa na pewne poświęcenie dla dobra całej rodziny[52].

Z wyjątkiem stanu duszy donii Dolores, która zawsze była gotowa do poświęceń, wszystko inne się nie udało. Wszystko się zagmatwało. Ewakuacja i dochodzenie roszczeń ciągnęły się bez końca i pozostały bez rezultatu. Czy to Bóg okazał się głuchy, czy też nie wiedział, jak im było źle?

Dziś dzień świętego Jakuba – pisał do tych z Walencji 25 lipca 1937 - mija dokładnie jeden rok od chwili, gdy musiałem opuścić swój dom. Jestem jednak zadowolony. Manolo bardzo dobrze wie, co robi i mam nadzieję, że nasze rodzinne sprawy uporządkują się wcześniej, lepiej i bardziej niż gdyby ziściło się to, o czym moglibyśmy tylko marzyć. Naturalnie,*

że my musimy podjąć odpowiednie środki[53].

Podejmowali działania i czuli się spokojni, ale z dnia na dzień rozwiewały się nadzieje na pozytywne skutki ich wysiłków. O nieudanym planie przeniesienia się do mieszkania matki, z pomocą zaświadczenia chorobowego wydanego przez doktora Suilisa, pisał jeszcze z konsulatu, 25 sierpnia:

Że wszystkie projekty jego powrotu do działalności zawodowej zawiodły, pomimo zaświadczenia doktora Suilisa? To prawda, i co z tego? Ponieważ jest Aragończykiem, trwa przy swoim i stara się poruszyć niebo i ziemię [...]. Trzeba mieć ufność. Dzięki don Manuelowi nie wolno nam nigdy wątpić w szybki sukces naszego rodzinnego interesu. Naturalnie, że będą trudności, jednak ludzie wzrastają w obliczu przeszkód. Dalej, naprzód! B.[óg] i odwaga, prawda?!

*Więc żyjcie w każdej chwili w
przeświadczeniu o zwycięstwie*[54].

Nie tylko musiał rozpraszać
niepokoje, ale także utrzymywać na
wysokim poziomie wiarę, optymizm i
nadzieję, zgodnie z dawnym hasłem
Akademii DYA, gdyż *Don Manuel wie
więcej, jak powiada zawsze mój
szalony brat*[55]. *Don Manuel wie
więcej* stało się więc ulubionym
zdaniem używanym przez don
Josemarię w korespondencji pisanej
z konsulatu. Z tą wiarą i z takim
uporem, byli już gotowi na
niepowodzenia projektów i na
spadające na nich niespodziewane
nieszczęścia. Ksiądz trwał
nieustraszenie przy swoim: *Don
Manuel wie więcej. Niech się dzieje, co
chce, wszystko wiezie ku
dobremu*[56], ponieważ wszystko to
zsyła na nas nasz Ojciec – Bóg.

Ksiądz miał jasno określoną zasadę:
naprawdę widział wszystko oczyma

wiary. Do tego pasowała jego uległość wobec natchnień płynących z wysoka i jego zupełne oddanie Bożemu przedsięwzięciu czynienia Dzieła. Miał jednak także i swój słaby punkt: buntowało się w nim serce i bez mała do przesady rozwinął w sobie poszanowanie wolności i praw bliźnich.

Ja... nic nie mówię– pisał do swych synów w Madrycie. – *Mam zwyczaj milczeć i mówić prawie zawsze: „Dobrze” albo „Bardzo dobrze”. Nikt nie będzie mógł przy końcu dnia powiedzieć – i nie skłamać – że zrobił to czy tamto dlatego, że dziadek rozkazał, a nawet że zasugerował. Ograniczam się, kiedy uważam, że muszę coś powiedzieć, do tego, żeby jasno i wyraźnie określić dane dotyczące jakiegoś problemu. W żadnym wypadku, choćbym uważał to za oczywiste, nie wskazuję konkretnych rozwiązań jakiegoś problemu. Mam inny sposób, by*

wpływać na wolę moich dzieci i wnuków, delikatnie i skutecznie: zawracać głowę i naprzykrzać się mojemu staremu Przyjacielowi – don Manuelowi. Obym nie stracił obranego kierunku i potrafił pozostawić swobodę działania moim bliskim... aż przyjdzie moment, gdy trzeba będzie samemu przejąć ster! I tak się stanie. Oczywiście – myślę, że mnie znacie – pomimo całej słabości mojego serca, nigdy nie będę w stanie poświęcić niczyjego życia – nawet jednej minuty życia – dla własnej wygody lub zadowolenia. I to do tego stopnia, że będę milczał (pewnie porozmawiam z don Manuelem), choćby rozwiązania przyjęte przez moich synów wydały mi się prawdziwą katastrofą[57].

Pomimo to, założyciel musiał tworzyć Opus Dei. Czy należało jednak przenieść się do strefy narodowej, zgromadzić członków Dzieła, którzy tam się znajdowali i

bez przeszkód kontynuować pracę apostołską? Nie chcąc narzucać swego punktu widzenia, skonsultował się ze swymi synami, którzy nalegali, że Ojciec powinien przenieść się na drugą stronę frontu. Decyzja oczywiście należała do niego i stała się przedmiotem wielu modlitw i wielu wahań. Jak wyjaśnia nam prałat Álvaro del Portillo: „Sprawiała mu ból myśl, że w niepewnej sytuacji miałby pozostawić w czerwonej strefie kilkoro swoich synów i córek. Poza tym w Madrycie mieli pozostać jego matka i rodzeństwo. Założyciel Opus Dei miał przez dłuższy czas wątpliwości: czasem widział całkiem jasno, że powinien uciekać, kiedy indziej wydawało mu się, że jego obowiązkiem jest zostać i spojrzeć w twarz męczeństwu, jeśli będzie trzeba. W końcu, po wielu godzinach modlitwy, podjął decyzję, by uciec”[58].

Wiele prób ucieczki spełzło na niczym. Chodził wolny po Madrycie, ale nie widział perspektywy opuszczenia strefy opanowanej przez czerwonych:

Chłopcy!– pisał do Walencji 18 września – Dziadek bardzo chciałby Was uściskać, jednak zawsze mu wchodzi w paradę. Może tak musi być. Mimo wszystko, któż to wie, nie tracę nadziei, że moje pragnienia wkrótce się spełnią. W końcu... don Manuel wie więcej[59].

Prawdą jest, że jego sytuacja się polepszała. Między zamknięciem w „pudełku dla świerszczy”, jakim był konsulat, a korzystaniem z madryckiego słońca zachodziła jednak znaczna różnica. W tych samych dniach w poprzednim roku krążył bez dokumentów po stolicy, wydanej na łup rewizji i kontroli. Wtedy zatrzymanie oznaczało, w najlepszym razie, więzienie, a dla

księdza równało się ze śmiercią.
Teraz sprawował swoją posługę, choć ostrożnie i w ciągłym zagrożeniu.

Don Josemaría zebrał w końcu całą kolekcję różnych dokumentów o różnej treści, niezapewniających jednak pełnego bezpieczeństwa. Najstarsza z nich był kartka z „Komitetu - Delegacji Partii Nacjonalistów Baskijskich”, wydana w Madrycie 23 grudnia 1936 roku, aby zapewnić mu „swobodę poruszania się” jako „osobie oddanej reżimowi”[60].

Zachowało się także zaświadczenie wydane osobiście przez Adwokata Prokuratora Trybunałów Madryckich, z datą 15 marca 1937 r. Adwokatem tym był Juan José Esteban Romero, dawny kolega don Josemaríi z kolegium pijarów w Barbastro, który poświadczył, że „José María Escrivá Albás. Pochodzący z tej dzielnicy, 35 lat,

pełni obowiązki w tejże kancelarii, w godzinach jej pracy”[61]. Nie było bynajmniej zbędne dodanie „w godzinach pracy”, gdyż chodziło zaświadczenie pracy. Oczywiście w Madrycie 1937 roku, gdzie już wydano bardzo surowe oficjalne zalecenia, by ci, którzy nie mają stałego miejsca pracy opuścili stolicę, nikt już nie mógł liczyć zbytnio na tego rodzaju dokument. Nikt zresztą nie trudziłby się, by sprawdzać, czy to, co zostało w nim zapisane, jest prawdą, ponieważ latem 1937 roku odpowiednie władze już stwierdziły, że zaświadczenia pomocników kancelarii adwokackich nie mają już żadnej mocy[62].

Miał także pismo z kliniki doktora Suilisa, z datą 14 marca 1937 roku, wydane w chwili opuszczenia Domu Wypoczynkowego i Zdrowotnego. O pacjencie mówiło się tam, że: „W chwili obecnej nie jest zupełnie wyleczony, z którego to powodu

zabrania mu się wszelkiego typu pracy, zmartwień, podróży i prowadzenia wszelkiego innego rodzaju aktywności”[63]. W ten sposób doktor Suils prosił, by pozostawiono chorego w spokoju. Jednak niebezpieczeństwo polegało na tym, że pacjent – gdyby użył tego dokumentu – mógł zostać ewakuowany ze stolicy do jednego z domów wariatów położonych w „szczęsnym Lewancie”.

Jeśli chodzi o inne zaświadczenie lekarskie, wydane także przez doktora Suilsa 22 sierpnia 1937 roku, które poświadczało, że od 6 lat chory cierpi „na psychozę endogeniczną, która ma okresowe nawroty”, mogło być ono przydatne, jak i obciążające[64]. Wszystko zależało od reakcji rozmówcy.

W tym zbiorze dokumentów wyróżniało się najnowsze i najbardziej wartościowe

zaświadczenie, że jest intendentem Kancelarii „Konsulatu Generalnego Republiki Hondurasu. Ameryka Środkowa”, w którym proszono, by okazicielowi tego dokumentu „ułatwiono przemieszczanie się w celu wykonywania jego obowiązków”[65]. Nie było to w pełni formalna nominacja, jednak sam dokument wzbudzał już respekt.

Nie brakowało don Josemaríi także nieodzownego poparcia rewolucyjnego. Miał Legitymację Narodowej Konfederacji Pracy (CNT), na nazwisko José Escriba Albás, numer 522, z datą wstąpienia: 9 VI 1937 r. i z pieczęcią „Zjednoczonego Syndykatu Funkcjonariuszy Sądowych, Adwokackich oraz Funkcjonariuszy Ogólnych”. W „Rocznej karcie składek miesięcznych” figurowały wpłaty za miesiące czerwiec, lipiec, sierpień i wrzesień, w wysokości 2 peset i 25 centimów miesięcznie. „Karta

Konfederacyjna – 1937”, która była dołączona do legitymacji, nosiła numer 908930[66].

Rodzina Escrivów, z wyjątkiem donii Dolores, zdołała zaopatrzyć się w konieczną dokumentację z anarchistycznego syndykatu CNT. Pod naciskiem okoliczności historycznych wielu katolików musiało wstąpić do wojska razem z wrogami Kościoła tylko dlatego, że mieszkali po stronie republikańskiej[67]. Podobnie rzecz się miała także w drugiej strefie[68]. Wypada wspomnieć tutaj anegdotę, którą opowiedział kiedyś don Josemaría. Powiadają, że do Saragossy przybył pewien wieśniak i poszedł odwiedzić katedrę *la Seo*. Jacyś żartownisie przekonali go, że w środku posadzka wyłożona jest wielkimi marmurowymi płytami tworzącymi szachownicę i żeby bardzo uważał, gdzie stąpa, by nie podeptać białych pól, gdyż strażnicy

mają polecenie, by laskami przetrzepać skórę każdemu, kto się tego dopuści. Prostaczek skakał niby konik polny z jednej czarnej płyty na drugą. Tymczasem strażnicy, myśląc, że zwariował, zbliżyli się, by wyprosić go ze świątyni. Ale ten odpowiedział im zadowolony: – Niedoczekanie, chodziłem tylko po czarnych[69].

Tę anegdotę można było zastosować do połowy Hiszpanii. Jedni chodzili po białych polach, drudzy po czarnych, niezależnie od własnych poglądów. Jednym okoliczności sprzyjały, drugim rzucały kłody pod nogi, w zależności od ich preferencji politycznych. W każdym razie wszyscy musieli się przystosować do sytuacji, w której o ich losie decydował fakt, w którym miejscu zastała ich wojna, która podzieliła tak wiele rodzin, oddzielając ojców od dzieci.

Na wiosnę 1937 roku rozpętała się na republikańskich tyłach wojna domowa pomiędzy różnymi siłami rewolucyjnymi. CNT wyszła z niej bardzo pokiereszowana i stała się przedmiotem prześladowań ze strony stalinistów. Właśnie wtedy, chcąc dorównać liczebnie syndykatom socjalistycznym i komunistycznym, anarchiści otworzyli swoje szeregi na nowych adeptów, nie troszcząc się o ich ideologię ani pochodzenie. Z tej okazji skorzystał kto tylko mógł, między innymi także Escrivowie, by przyłączyć się do CNT, co było jedynym sposobem, by móc poruszać się po czerwonym Madrycie[70].

Na skutek tych wydarzeń, pewnego dnia na ulicy Caracas pojawili się jacyś milicjanci socjalistyczni, prosząc o świadectwa pracy. Ani Carmen, ani donia Dolores nie miały ich, dlatego ostrzegli je, żeby były przygotowane na to, że w ciągu kilku

dni wróćą, by przewieźć je do Walencji[71]. (Rozkaz, by ewakuować z Madrytu wszystkich, którzy nie mogli wykazać, że mają stałą pracę, został wydany w styczniu 1937 r.). Isidoro, zaalarmowany pilnością tej sprawy, poszedł zobaczyć się z José Marią Albaredą, który znał – podobnie jak Tomás Alvira – osoby, które pracowały w Syndykacie Oświatowym CNT na placu Colón, w „Domu pod Zegarem”. Większość profesury i personelu szkolnego należała do socjalistycznego syndykatu UGT, podczas gdy CNT brakowało członków w tej branży. Dlatego właśnie spora liczba zakonników i zakonnic skorzystała z okazji i zapisała się na początku 1937 roku do CNT, aby otrzymać miejsce pracy. Potem nastąpiła tam czystka i niektórzy wylądowali w więzieniu[72].

José María Albareda, który był profesorem Instytutu Velázquez w

Madrycie, obiecał załatwić dla Carmen sprawę przyznania pozwolenia na pracę w ramach Syndykatu CNT. Przecież miała ona tytuł nauczycielki ze Szkoły Pedagogicznej w Logroño. Wszystko wydawało się załatwione, gdy wybuchło wielkie poruszenie i zamknięto biuro. Sama zainteresowana musiała wrócić kilka dni później w towarzystwie Isidora, by odebrać dokumenty.

Funkcjonariusz w średnim wieku o dobrodusznym wyglądzie, być może ukrywający się zakonnik, wręczył Carmen zaświadczenie, że jest maszynistką w tym syndykacie, i bardzo poważnie ostrzegł, by nie przyszło jej do głowy przychodzić tam w jakiegokolwiek sprawie.

Widocznie nie mówił tego bez powodu. „W końcu – napisze w czerwcu Isidoro – rozwiązał się problem zaświadczenia o pracy Carmen. Dziś po południu towarzyszyłem jej do syndykatu i

wydano je nam. Okazało się, że syndykat był całkiem sparaliżowany, bo ich sekretarz znalazł się po drugiej stronie frontu wraz ze wszystkimi funduszami. Krążą dziś pogłoski, że cała brygada Spartakusa, którą tak dobrze zapamiętał sobie Ricardo, przeszła na drugą stronę”[73]. Ricardo, to jest Juan Jiménez Vargas, nie mógł zapomnieć swojej krótkiej służby jako lekarz wojskowy brygady Spartakusa CNT na froncie pod Jarama ani tej wewnętrznej siły, która powstrzymywała go za każdym razem, gdy próbował zbiec i przejść do drugiej strefy. Wydaje się, że pogłoski o zdradzie brygady Spartakusa były częścią komunistycznej kampanii propagandowej, mającej za zadanie zdyskredytować politycznie anarchistyczną CNT.

Donia Dolores postanowiła uczcić otrzymanie pozwolenia na pracę

podwieczorkiem dla całej rodziny: „Babcia zaprosiła nas na niedzielę na herbatę; będą wszystkie wnuki” – pisał Isidoro[74]. Teraz, gdy dzięki temu zezwoleniu matka i siostra don Josemaríi mogły pozostać w Madrycie, zasugerował on, by wyrobić także dla Santiago dokumenty, które by pozwoliły mu wyjść z konsulatu i poruszać się swobodnie po mieście. Udało się to osiągnąć tylko dzięki nieustannym naleganiom księdza Josemaríi, który ze swego honduraskiego pokoiku pilnie śledził tę sprawę. Był to bardzo skomplikowany proces, który rozpoczął się w maju i zakończył w drugiej połowie lipca.

Ani Carmen, ani donia Dolores, w żaden sposób nie mogły sobie nawet wyobrazić warunków panujących w zamknięciu. Dlatego założyciel Opus Dei Isidorowi ujawnił swoje obawy dotyczące tej kwestii: *Najbardziej bym sobie życzył, żeby ten mały był*

razem z babcią – mówił. – Moja matka nie zdaje sobie nawet sprawy, jak tutaj jest[75].

Najpierw próbowano uzyskać legitymację studencką i zapisać chłopca na jeden z letnich kursów prowadzonych przez jakąś uczelnię. Do tego brakowało jednak politycznej rekomendacji ze strony dwóch osób, których legitymacje miały datę wcześniejszą niż wybuch rewolucji, które by zagwarantowały, że dany obywatel jest osobą oddaną reżimowi. Te dokumenty były sprawdzane przez syndykat studencki, gdzie wszelkie usiłowania kończyły się fiaskiem[76].

Trzeba było zmienić kierunek działań. Zapisano chłopca na zajęcia Międzynarodowej Czerwonej Pomocy (*Socorro Rojo Internacional*). Po wystawieniu Santiago legitymacji CNT postarano się też dla niego o zaświadczenie z kliniki doktora

Suilsa, by oszukać komitet domowy, który nadzorował go na ulicy Caracas. Mógł wtedy zamieszkać z donią Dolores[77].

27 lipca Ojciec z radością pisał Pedrowi Casciaro:

Czy mówiłem Ci, że wujek Santi mieszka – od kilku dni – z babcią? Mówią mi, że nie tylko jest zadowolony, ale wręcz wniebowzięty. Należy do SRI (Socorro Rojo Internacional) i do CNT (syndykatu Anarchistycznej Federacji Iberyjskiej). Nosi kombinezon – jak mówią – i chodzi na lekcje Czerwonej Pomocy, które ma w pewnej akademii[78].

Legitymację CNT z 9 czerwca 1937 oraz List Związkowy (Carta Confederal) Ojca z numerem 908930, na nazwisko José Escribá Albás, udało się po przedstawieniu zaświadczenia o pracy uzyskać bez większych trudności[79]. Jasne jest, że w tym okresie legitymacja członka

CNT, którego data przystąpienia do związku wypadła w czerwcu 1937, to jest już po roku trwania rewolucji, mogła tylko budzić podejrzenia w pewnych kręgach.

Wśród rozmaitych pomysłów na to, jak opuścić strefę kontrolowaną przez Front Ludowy, najprostszym i najmniej ryzykownym wyjściem było użycie kanałów dyplomatycznych. Jednak Bóg chciał inaczej. Nie udało się także załatwić dla don Josemaríi paszportu argentyńskiego za pomocą fałszywego aktu urodzenia. Niewiele znaczył cały arsenał dokumentów, jeśli nie mógł pomóc w ucieczce. Jego matka i rodzeństwo nie mieli tego problemu, ponieważ postanowili pozostać w Madrycie. Jego zamiarem natomiast było wyjechać ze stolicy, a w takim przypadku każda podróż wymagała odpowiedniego zezwolenia na przejazd.

4. Wyjazd z Madrytu

Zbliżał się już koniec września, gdy José María Albareda otrzymał list z Barcelony. Albareda wiedział, że niektórzy jego krewni uciekli do Francji przez Pireneje. List napisał zaprzyjaźniony ksiądz, don Pascual Galindo, któremu udało się trafić na ślad osób, które pomogły im przejść granicę. Zachowując konieczne środki ostrożności, wysłał do Madrytu odpowiednie informacje[80].

Dali o tym znać Ojcu. Zastanawiali się na wykonalnością tego przedsięwzięcia, ze wszystkimi jego niebezpieczeństwami. Zajęli się uzyskiwaniem pozwoleń na przejazd i zdobywaniem pieniędzy na podróż. I właśnie teraz, gdy wszyscy byli zgodni co do planu ucieczki, zrodziły się wątpliwości Ojca. Jednego dnia był zdecydowany jechać razem z Juanem i José Marią Albaredą do Barcelony, a następnego wycofywał się. Ksiądz opierał się temu

pomysłowi, myśląc o członkach Dzieła, którzy pozostawali w niepewnej sytuacji, myśląc o swojej matce i rodzeństwie, wystawionych na niebezpieczeństwa toczącej się wojny, a wreszcie o ciężkiej chorobie ojca Álvara del Portillo, który w każdej chwili mógł umrzeć. W końcu don Josemaría zdecydował się wyjechać z Madrytu w towarzystwie wszystkich, którzy mogli uzyskać odpowiednie dokumenty do podróży[81].

Dzięki hojności przyjaciół, a nawet dalszych znajomych, udało się zebrać sporą sumę pieniędzy[82]. Aby uzyskać zezwolenie na podróż, trzeba było przedstawić świadectwo pracy oraz poręczenie polityczne. Trzeba było więc zająć się papierami i uciec się do pomocy osób malowniczych, obrotnych i umięjących odnaleźć się w biurokratycznych labiryntach[83]. Działania te podjęto z dużym

pośpiechem, aby móc jak najszybciej wyjechać z Madrytu, o ile to możliwe w pierwszym tygodniu października. Jednak plany te na niewiele się zdały. Wszystko to zależało od okazji, nie od organizacji. W każdym przypadku z osobna, żeby rozwiązać problemy z pieniędzmi i z dokumentami, trzeba było się chwycić doraźnych rozwiązań.

1 października, w przeddzień dziewiątej rocznicy założenia Opus Dei, Ojciec napisał do synów w Walencji: *Jutro moje maleństwo skończy dziewięć lat! Ileż podziękowań złożę przez cały dzień! Maleństwo, ale rośnie zdrowo*[84]. W dalszej części listu zapowiadał swoje odwiedziny w Walencji, w towarzystwie Juana, *w ciągu kilku dni.*

W biurach Regionalnego Syndykatu Służb Publicznych CNT „towarzysz José Escribá” zaopatrzył się w

poręczenie polityczne, aby w Generalnej Dyrekcji Bezpieczeństwa (*Dirección General de Seguridad*) móc otrzymać zezwolenie na podróż. Mówiło ono, co następuje: „Madryt, 5 października 1937. Do odpowiedzialnego za Pasporyty w Generalnej Dyrekcji Bezpieczeństwa. – Czołem, towarzysze! Oczekujemy, że wystawicie i wydacie pozwolenie na podróż do Barcelony i z powrotem w ciągu 30 dni, w celu załatwienia spraw rodzinnych, towarzyszowi „Sekcji Prawników” Jose Escribie Albasowi, z numerem legitymacji 522. – Oddani wam i Sprawie. Za Komitet – Sekretarz Guilermo Zendón”[85]. (Owo „załatwienie spraw rodzinnych” było jednym z nielicznych prawdziwych powodów w tym imponującym stosie dokumentów *bardziej fałszywych niż sam Judasz*, jak nie bez racji mówił don Josemaría)[86].

Od tego momentu przygotowania nabrały tempa, a wyjazd wyznaczono na 8 października. Juan miał wyjechać dwa dni wcześniej w stronę Walencji, aby tam załatwić nocleg dla członków grupy. W międzyczasie don Josemaría złożył sporą liczbę pilnych i koniecznych wizyt osobom, którymi się zajmował duchowo. Z bólem udzielił ostatniego namaszczenia don Ramonowi del Portillo, gdyż spodziewał się, że nie będzie u jego boku w godzinie śmierci[87]. (Nawiązując do całej bieganiny, panującej w tych dniach poprzedzających wyjazd, Isidoro pisał w liście z 9 października, że pod naciskiem okoliczności wszystko było „robione w wielkim pośpiechu, wszystko przecież było kwestią nadarzającej się okazji”)[88].

6 października wieczorem Juan wyjechał z Madrytu ciężarówką, która wiozła beczki wina i która zostawiła go w Temleque.

Komunikacja drogowa i kolejowa z obłążoną stolicą była ograniczona tylko do nielicznych stref. W Tembleque Juan złapał pociąg do Walencji i rankiem 7 października zjawił się w domu Paco Botelli. Potem odwiedzili razem Eugenio Sellésa, który mieszkał na ulicy Eixarchs 16, w mieszkaniu kolegi z Wydziału Nauk Ścisłych. Eugenio zaoferował się, że przyjmie tam Ojca[89].

Pedro Casciaro i Paco Botella, którym 7 i 8 października towarzyszył Juan Jiménez Vargas, oczekowali z radością przyjazdu Ojca. Całe godziny spędzali na rozmowach[90]. Komentarze i wyjaśnienia dotyczące treści listów od Ojca i Isidora miały nadrobić cały rok osamotnienia i nadzwyczajnych wydarzeń. Walencja była wtedy zbiorowiskiem ludzi z zewnątrz: urzędników państwowych, cudzoziemców oraz emigrantów z całej Hiszpanii. Inaczej

Madryt, miasto, w którym zatrzymywano się przejazdem. Pojawienie się w Walencji grupy towarzyszącej Ojcu nie wydało się nikomu dziwne i nie zwróciło niczyjej uwagi.

Pedro został skierowany do stajni wojskowych[91] w jednych z koszarów w Walencji. Paco zaś zajmował się służbą pomocniczą dla armii, dysponował więc swobodą ruchów i miał możliwość mieszkania razem z rodziną. Tej nocy, 7 października, Juan poszedł z Pedrem, „cały czas rozmawiając o rzeczach, które wydarzyły się w czasie naszego niewidzenia się. Około jedenastej – opowiada – doszliśmy do pensjonatu Pedra. On chciał kontynuować rozmowę, by dowiedzieć się wszystkiego, jednak zaraz po tym, jak zmówiliśmy *Preces**, padłem jak długi na łóżko, podczas gdy on modlił się i odmówił jedną część różańca”[92].

Nie wiedząc, czy podróżni z Madrytu przybędą pociągiem czy samochodem, wszyscy trzej cały ranek krążyli po dworcu. Potem zdecydowali się poczekać w domu Paco. Była ósma wieczorem, gdy zadzwieczał dzwonek. Z powodu emocji oczekiwania i wyglądu Ojca, ubranego jak świecki i zupełnie zmienionego, Pedro i Paco zaniepokoiли się, dopóki nie znaleźli się w jego ramionach. Na ulicy czekali pozostali. Zostali oni stosownie rozmieszczeni: Ojciec i José María Albareda znaleźli się u Eugenia Sellésa, Manolo Sainz de los Terreros i Tomás Alvira w pensjonacie Pedra, a Juan w domu Paco[93]. Wszyscy razem zjedli kolację w gospodzie „del Comercio”. Musieli usiąść w pobliżu kilku policjantów, u których wygląd Pedra nie wzbudził zaufania. Ku przerażeniu wszystkich biesiadników wylegitymowali go. Na szczęście tylko jego, gdyż właśnie on,

jako jedyny, miał dokumenty zupełnie w porządku[94].

Następnego ranka wszyscy wysłuchali Mszy Świętej w domu Eugenia Sellésa. Dowiedziawszy się, że portier domu jest w rzeczywistości księdzem, Ojciec poprosił, by go zawołano, przypuszczając, że może potrzebować jego pomocy kapłańskiej. Obaj kapłani wyspowiadali się i służyli sobie wzajemnie do mszy[95].

Tego księdza pełniącego obowiązki portiera nazywano Pepe. Cudem przeżył, ponieważ pewien komunista przekonał wiozących go na rozstrzelanie milicjantów, że sam odstawi go do Gubernatorstwa Wojskowego. Gdyby nie ta interwencja, rozstrzelano by go za to jedynie, że był księdzem, a jego ciało porzucono by w rowie. Komunista, niedawno przyjęty do partii człowiek dobrej woli, bardzo szybko zdał sobie

sprawę z prymitywnych morderczych instynktów, rządzących jego towarzyszami; zdołał później ukryć go w Walencji jako portiera[96].

Aby uniknąć niespodzianek ze strony osób trzecich lub policji, Ojciec poprosił Pedra i Paca, aby mówili do niego *per* „ty” i nazywali go Mariano. Jednak, podobnie jak w przypadku Juana, nic więcej z tego nie wyszło poza tym, że unikali zwracania się do niego „ksiądz”. Ojciec spożytkował ten dzień, by długo mówić im o wierności powołaniu i nieograniczonym zaufaniu, jakie powinni pokładać w naszym Ojcu Bogu. Wyjawił im gorące pragnienie znalezienia się w atmosferze wolności, aby móc prowadzić apostołstwo i zebrać tych wszystkich młodych ludzi, którzy przeszli przez Rezydencję przy Ferraz, a teraz znajdują się w drugiej strefie. Prosił ich także o hojność, gdy chodzi o

poświęcenie pewnych planów zawodowych, wobec pilności potrzeb apostołskich, na które się natkną, jak tylko skończy się wojna[97]. A ponieważ pociąg do Barcelony nie odchodził przed 11 wieczorem, Ojciec miał jeszcze czas, by napisać do Isidora, chociaż przemilczał niebezpieczne zdarzenia, jakie spotkały ich w drodze, gdy musieli przejść przez liczne kontrole. W Puerto de Contreras milicjanci zażądali od nich pokazania dokumentów, kazali im uklęknąć na ziemi i trzymali karabiny wycelowane w nich i w samochód[98].

(Warto także wspomnieć o dyskretnym milczeniu założyciela Opus Dei. Jednak znacznie bardziej niż jego dyskrecja rzuca się w oczy heroiczny wysiłek, który podejmuje w swoich listach, by co dzień napełniać je optymizmem, walcząc ze zmęczeniem i z miernotą, a także

mimo konieczności unikania pewnych wyrażen, maskowania prawdziwych myś. Jego listy do tych, którzy przebywali w Walencji, były przez całe miesiące nie tylko środkiem komunikowania wiadomości, ale także radosnym podarunkiem, który podtrzymywał na duchu jego synów. Oczywiście nie zawsze zdołał ich rozbawić swoimi powiedzonkami i żartami.

Niejednokrotnie musiał otwierać przed nimi swoje serce, ale zdarzało się też, że jego skarbiec dobrego humoru okazywał się do tego stopnia wyczerpany, że zmuszony był przyznać się do porażki: [...] *Chcę się wysilić i opowiedzieć Wam jakiś dowcip... i mi nie wychodzi: cały czas czuję suchość w gardle*[99].

Tegoż 9 października, dzięki Bogu, miał przyływ natchnienia, gdy pisał do Ignacia (tego imienia używał podczas wojny Isidoro):

Drogi Ignacio, podróż była wspaniała, przyjechaliśmy o ósmej wieczorem. Wyjechaliśmy o pierwszej. Zatrzymaliśmy się, po przejechaniu Tarancón, w pierwszym miasteczku: jedliśmy coś: szynkę i mięso, które mieli ze sobą José María i Tomás, a także nasze ciasteczka i turrón. A, i jeszcze biały chleb (tak, istnieje jeszcze biały chleb) oraz kilka pomidorów w sałatce, które wyłowił nasz przyjaciel z Saragossy. Po drodze upolowaliśmy dwie sztuki: kuropatkę, która zderzyła się z samochodem, gdy przelatowała w poprzek drogi bardzo nisko oraz psa, który, podniesiony do rangi mięsa rzeźnego, zostanie zjedzony – w końcu dziś sobota – przez bogatych madrytczyków.*

Moje wnuki, bardzo przystojni chłopcy [...].

O wszystkich moich dziatkach i o Tobie, o Was wszystkich, o Loli i jej dzieciach, będę pamiętać w moich

rozmowach z D. Manuelem podczas drogi.

Ściskam Was,

Mariano

Sobota, 9 X 1937[100].

O jedenastej w nocy odchodził pociąg do Barcelony. Pedro i Paco pożegnali podróżnych. Gdyby ta ekspedycja się powiodła, mieli zorganizować drugą dla tych, którzy zostali w Madrycie i w Walencji. W chwili gdy pociąg odjeżdżał, otrzymali błogosławieństwo na podróż. Ojciec, z jedną ręką na współ ukrytą na piersi, gdzie nosił Najświętszy Sakrament (w tej papierośnicy z korporalami przygotowanymi przez Carmen, schowanej w etui w barwach honduraskich) zrobił znak Krzyża, powtarzając ledwie otwartymi ustami słowa: *Beata Maria intercedente, bene ambuletis, et*

*Dominus sit in itinere vestro et angeli eius comitentur vobiscum**[101].

Kiedy znowu go zobaczą? Pedro i Paco zostali smutni na peronie. Smutni i zarazem radośni, z rozbudzoną wyobraźnią. „Tej nocy bardzo mało spałem” – opowiada Paco[102].

Jeszcze mniej spali podróżni. Wagony były przepełnione, nie miały wydzielonych przedziałów. Już po wyjeździe z Walencji były przepełnione. Drewniane siedziska były połamane i brudne. W przejściu pośrodku leżeli śpiący ludzie, w większości milicjanci na przepustce wracający z frontu. Słyszać było pełno przekleństw i bluźnierstw. Ojciec spędził noc na zadośćuczynieniu Panu, a wobec możliwości świętokradztwa przy okazji jakiejś rewizji już nad ranem zdecydował się spożyć komunikanty. Pojedynczo wychodzili do ubikacji w wagonie, przekazując sobie

papierośnicę, tak by wszyscy mogli przyjąć Komunię. W niedzielę 10 października tuż przed południem pociąg wjechał do Barcelony.

Natychmiast założyciel Opus Dei wysłał kilka słów do Isidora, aby zawiadomić o przyjeździe tych, którzy pozostali w Madrycie[103].

José María Albareda zatrzymał się w domu przy ulicy República Argentina 60. W tym domu wdowa Montagut przyjęła matkę José Maríi Albaredy wraz z jej dwoma wnukami. Jedna z córek wdowy, nie namyślając się zbyt długo, przyczepiła na drzwiach plakat, tak że wyglądało na to, że dom został zajęty przez anarchistów z FAI. Pod taką opieką wszyscy mieszkali spokojnie. Do chwili, gdy zamieszkał tam don Pascual Galindo, ksiądz, który wysłał do Madrytu informację, jak dostać się do Francji.

Ojciec, wraz z resztą grupy, udał się do Centric Hotel, na Rambla de

Estudios 8. Pomimo nocy spędzonej bezsennie w pociągu poświęcili niedzielny wieczór na spacer po mieście, ćwicząc nogi, bo nie wiadomo było, czy z dnia na dzień nie będą musieli opuścić Barcelony.

Następnego dnia don Josemaría odprawił mszę dla wszystkich w domu przy ulicy República Argentina. Potem donia Pilar, matka José Maríi Albaredy udzieliła mu wskazówek, jak skontaktować się z pośrednikami w sprawie przejścia przez granicę. Nie tracąc czasu udali się we wskazane miejsce, do lokalu przy Ronda de San Antonio 84, gdzie podawano jedzenie i napoje. Tam zapytali po prostu o Mateo, którym okazał się być człowiek stojący za ladą z białego marmuru, taką jak w mleczarni. (Potem dowiedzieli się, że ten człowiek nazywał się Mateo Molleví Roca, chociaż od razu przewalili go „Mateo mleczarz”). Był to człowiek w średnim wieku,

flegmatyczny i wzbudzający zaufanie[104].

Po długim kluczeniu, by uniknąć niespodzianek, umówili się na spotkanie następnego dnia. Mateo wytłumaczył im wówczas, że łącznikiem jest osobnik zwany Vilaró. Mieli go spotkać, siedzącego w rogu baru Flora, na Gran Vía de las Corts. I w środę 13 października, o umówionej godzinie zjawił się tam Juan z gazetą złożoną na pół, w charakterze znaku rozpoznawczego. Ale ów człowiek w ogóle się nie pojawił. Możliwe, że znalazł już innych klientów. Zdaniem Mateo cena, jakiej Vilaró żądał od osoby, wynosiła dwa tysiące peset[105].

5. Pobyt w Barcelonie

Mijały trzy dni pobytu w Barcelonie i optymizm Ojca rósł, jeśli sądzić po tonie wiadomości, jakie nadsyłał na temat przejścia do Francji. *Mam wiele dobrych wrażeń*– oświadczył na

wstępie w liście do Isodoro w niedzielę 10 października. *Dochodzę do siebie, chociaż powoli, to jednak z całą pewnością* – pisał w kartce wysłanej 12 października, dając do zrozumienia, że sprawy posuwają się naprzód[106]. W środę 13 października, w długim liście do Isodoro, po tym, jak poinformował go, że *w ciągu kilku dni zamierza zakończyć podróż, chociaż cała sprawa może się trochę przeciągnąć*, wyjawiał mu swój nowy plan. Pomysł Ojca polegał na tym, by zorganizować drugą wyprawę ze wszystkimi członkami Dzieła, którzy nadal ukrywali się w Madrycie. Jednak powinni mieć dokumenty w porządku, aby spotkać się w Walencji, jak tylko otrzymają wskazówki od Pedra Casciaro. Potem, przewidując bliski już wyjazd z Barcelony, pewien swego przejścia, skończył swój list do Isodoro tymi słowami:

Być może wyjadę, zanim dostanę list od Pana. Poproszę pewną dobrą przyjaciółkę, aby odebrała odpowiedź i przesłała ją do mnie. Dlatego niech Pan nie pisze do mnie do hotelu, ale na adres, który poniżej podaję.

Serdeczne pozdrowienia i uściski, wyrazy pamięci dla Don Manuela i jego Matki,

Mariano.

Proszę kierować odpowiedź na adres:

Cecilia Sánchez

República Argentina 60.

Barcelona.

Może Pan włożyć do środka drugą otwartą kopertę z dopiskiem:

Z prośbą o przekazanie Marianowi[107].

Ta decyzja, podjęta przez Ojca 13 października, miała pociągnąć za sobą nieoczekiwane konsekwencje. Ponieważ w tym samym czasie, gdy pisał ten list do Isidoro, wyznaczając Pedra Casciaro na koordynatora drugiej wyprawy, wysłał do Walencji telegram, zapraszając Pedra do Barcelony, by wyjaśnić mu szczegółowo swój pomysł i by poznał osobiście Mateo i innych pośredników. Tylko w takiej sytuacji można wytłumaczyć, dlaczego Pedro i Paco zaalarmowani telegramem, zrozumieli, że życzeniem Ojca jest, by Pedro bez zwłoki przyłączył się do wyprawy, która miała wyruszyć z Barcelony. Telegram, co zrozumiałe, nie zawierał dodatkowych wyjaśnień. Natychmiast Pedro poczynił przygotowania. Postarał się o papiery z Generalnej Dyrekcji Stajni Wojskowych (*Dirección General de la Remonta*) i wypełnił formularz, by umieścić swoje nazwisko na liście wyjazdowej i

jeszcze tego samego wieczoru o jedenastej znaleźć się w pociągu do Barcelony[108].

Kiedy Juan wrócił do Centric Hotel, zasmucony i zmęczony, wciąż jeszcze trzymając pod pachą złożoną na pół gazetę, czekali na niego już od trzech godzin. Opowiedział im o swym niepowodzeniu. Pośrednik nie pojawił się. (Było to tylko pozorne nieszczęście. Ta ekspedycja uchodźców okazała się najprawdopodobniej jedną z tych, które skończyły się niepowodzeniem).

W ten sposób perspektywa wyjazdu z Barcelony na razie oddaliła się. Ponieważ nie mieli zbyt wiele pieniędzy, myśleli o tym, by opuścić hotel i przenieść się do pensjonatu donii Rafaeli, na Gran Vía Diagonal 371, gdzie mogli przebywać bez ryzyka denuncjacji[109].
Rzeczywiście 14 października

wszyscy, z wyjątkiem Albaredy, wprowadzili się do pensjonatu donii Rafaeli, wdowy Cornet, kobiety doświadczonej w kontaktach z osobami przechodzącymi na drugą stronę granicy i zdającej sobie sprawę, kim jest don Josemaría. Tego samego dnia pojawił się w Barcelonie Pedro Casciaro. Ojciec wprowadził go w wydarzenia związane z pośrednikami oraz w plan drugiej wyprawy. Nocą Pedro wrócił do Walencji. Gdy pojawił się w koszarach, potraktowano go stosownie do sytuacji: dostał 16 dni karceru[110].

List Ojca z 13 października spowodował podobne poruszenie, gdy Isidoro przekazał pozostałym członkom Opus Dei wskazówki, że mają spotkać się w Walencji z Pedrem. Jednak działania zostały powstrzymane w kilka dni później, gdy dostali wiadomość wysłaną przez Pedra z karceru. (W

rzeczywistości w tym budynku, przerobionym na koszary, nie było prawdziwego karceru, musieli więc przygotować specjalną celę dla więźnia).

Isidoro, w liście z 21 października, starając się naprawić nieporozumienie związane z koniecznością natychmiastowego spotkania w Walencji, donosi tym, którzy pozostali w Madrycie: „Dziadek wezwał Perica do Barcelony. Po swoim powrocie do Walencji napisał, że „za 10 – 12 dni będą w domu José Ramóna, trzeba mieć 30 lat i trzy książki; na razie nie jest to sprawa wykonalna, zobaczymy później” [...] Od tego momentu są to zdania dziadka przekazane za pośrednictwem radia Pedro”[111].

Tak więc ci z Madrytu wiedzieli, że gdy zawiódł pośrednik Vilaró, wyjazd z Barcelony opóźni się.

Dowiedzieli się , że aby udać się do domu José Ramóna powinni mieć po 3 000 peset na osobę i że nie powinni jeszcze wyjeżdżać z Madrytu. (José Ramón Herrero Fontana był najmłodszym w Dziele spośród duchowych synów Ojca. Początek wojny domowej zastał go po stronie narodowej. Jego matka i brat zostali w Madrycie, na placu de Herradores, gdzie ukrywał się don Josemaría. „Don José Ramóna”, dla zmylenia cenzury, oznaczał wolność i strefę narodową).

Hojność Pedra, który na domniemane wezwanie ze strony Dzieła postanowił rzucić wszystko na jedną szalę, nie przestała robić wrażenia na Ojcu w chwilach, gdy wracały doń jego dawne troski. Nie martwił się o los swoich dzieci, bo wiedział, że spoczywa on w ręku Boga, lecz drżał z powodu niebezpieczeństw, na jakie się wystawiają. Rzecz w tym, że Pan

pozwoił, by jego dusza cierpiała po raz kolejny i by znów ogarniały go wątpliwości na myśl, że pozostawił tchórzliwie tych, którzy najbardziej go potrzebowali.

Był 15 października. Ojciec był sam z Juanem w pensjonacie, gdy oświadczył mu stanowczo, że wraca do Madrytu, lecz pozostali powinni trzymać się wyznaczonego planu.

„Była to bez wątpienia najgorsza chwila, jaką przeżyłem – wyznaje Juan – i mimo upływu czasu pamiętam ją jakby się to stało dziś,” [112]. Co miał powiedzieć pozostałym po ich powrocie?

W pół godziny później Ojciec był już z powrotem. Bez wątpienia rozpoznał wolę Bożą i uznał, że jego obowiązkiem było kontynuowanie całego przedsięwzięcia pomimo wszystkich trudności i niebezpieczeństw. „Imponująca była – ciągnie Juan – pokora, z jaką

poprosił mnie o wybaczenie z powodu tych okropnych chwil, które musiałem przez niego przeżyć. Wtedy nie opowiedziałem reszcie o tym, co się wydarzyło”[113].

Dzięki wskazówkom donii Pilar oraz don Pascuala Galindo, a także dzięki własnej determinacji, don Josemaría mógł dotrzeć do kryjówki księdza Pou de Foxy, profesora prawa kanonicznego z Saragossy, wiernego przyjaciela i doradcy. To spotkanie podziało jak kojący balsam, którego tak potrzebował, o czym sam napisał w kilka dni potem do Isidora:

Barcelona – 20 października 1937

Mój Drogi Przyjacielu,

dostałem Twoje listy. Bardzo mi przykro z powodu śmierci don Ramóna, chociaż się jej spodziewałem. Daj znać tej drogiej mi rodzinie, w jak wielkiej części dzielam ich ból.

*Zawsze tu pamiętamy o wszystkich.
Niech babcia i maluchy uważają na
siebie. Wkrótce zobaczymy się z José
Ramónem.*

*Powiedz Loli, że rozmawiałem kilka
razy z Pou: u niego wszystko w
porządku.*

*Teraz przez dłuższy czas nie będę
pisał.*

Dostaliście list od Periquillo?*

Serdecznie Was wszystkich ściskam,

Mariano[114].

Ojciec prawie codziennie odprawiał
mszę w pensjonacie donii Rafaeli,
kilka razy w domu rodziny
Albaredów, w towarzystwie innych
osób. Po jej odprawieniu nosił przy
sobie Najświętszy Sakrament, aby
udzielić Komunii Świętej tym, którzy
nie mogli wziąć udziału we mszy. Te
konspiracyjne spotkania całych grup

ludzi nie były bezpieczne. Donia Rafaela na prośbę księdza zwykle czuwaław korytarzu, czy ktoś nie dzwoni do drzwi[115]. (Ten środek ostrożności stosowano już w sanatorium doktora Suilsa oraz w pensjonacie donii Matilde w Madrycie).

Podczas gdy czekano na wieści od „Matea mleczarza”, don Josemaría zapełniał wolny czas coraz bardziej intensywną działalnością duszpasterską. Podobnie jak w Madrycie, w Barcelonie istniała konspiracyjna siatka duchownych, którzy z narażeniem życia udzielali sakramentów[116]. Ale wiernym nie zawsze było łatwo nawiązać z nimi kontakt. Pewnego dnia Tomás Alvira spotkał na ulicy Gayé Monzóna, przyjaciela z Saragossy, którego matka mieszkała w Badalonie i z powodu braku księdza nie mogła się wyspowiadać od 1936 roku. W wyznaczony dzień don Josemaría i

Tomás udali się do Badalony wraz z Gayé Monzónem. Wysiedli z autobusu, idąc w stronę morza, ksiądz pełnym głosem recytował *Salve Regina, Mater misericordiae....*

Pod koniec dnia donia Pilar Monzón, żegnając się z Tomásem, zapewniała go, że „Ojciec powiedział jej takie rzeczy, jeśli chodzi o jej życie duchowe, których nikt nigdy jej nie mówił”[117].

Tomás był człowiekiem o szerokich znajomościach. Wkrótce po przyjeździe do Barcelony natknęli się w prasie na informację o mianowaniu Pascuala Galbe Loshuertos radcą *Audiencia de Cataluña*, jako reprezentanta *Generalitat*, to jest najwyższych władz katalońskich. Pascual był kolegą Tomása w Instytucie w Saragossie przez cały okres szkoły średniej. Także Ojciec pamiętał Pascuala, który był jego dawnym

kolegą z wydziału prawa i cieszył się tam opinią ateisty. Ostatni raz widzieli się w Madrycie już jakiś czas temu. Pascual jechał tramwajem na wysokości Gloriety de San Bernardo, niedaleko Szpitala de la Princesa oraz Akademii Cicuéndez, kiedy widząc tam księdza, wyskoczył i podbiegł, by uściskać kolegę[118]. Bez wątpienia musiał mieć dobre serce, skoro nie wstydził się manifestować swej przyjaźni z księdzem w tamtych czasach na środku ulicy.

Jednak od tego czasu okoliczności się zmieniły się na gorsze. Tomás, ufając w siłę dawnej przyjaźni, po uzgodnieniu tego z Ojcem, zjawił się pewnego dnia w *Audiencji*. Radca nie mógł ukryć wzruszenia na widok dawnego kolegi. W trakcie rozmowy, w pewnym momencie Tomás poinformował go, że don Josemaría także jest w Barcelonie i chciałby się z nim zobaczyć. – Nie tu! Nie tu! –

zawołał zaalarmowany rozmówca –
Lepiej żeby przyszedł na obiad do
mnie do domu[119].

Ustaliwszy telefonicznie termin
wizyty, don Josemaría, któremu się
nie przelewało, kupił zabawki dla
dwóch synów Pascuala i w
towarzystwie Juana zjawił się w
domu radcy. Ujrzawszy się, obaj
przyjaciele uściskali się serdecznie.
Obiad przebiegał w bardzo radosnej
atmosferze, a po zakończeniu
posiłku, gdy pani domu i dzieci się
oddaliły, rozmowa stała się bardzo
osobista:

– Jak się cieszę, że cię widzę,
Josemaría! Nie wiesz nawet, jak
cierpiałem, gdy myślałem, że cię
zabili.

Zaofiarował się stworzyć mu
możliwość pozostania w Barcelonie,
otwarcia praktyki adwokackiej z
dokumentami gwarantującymi
bezpieczeństwo osobiste. Ksiądz

podziękował za propozycję, ale jej nie przyjął:

– Nie zajmowałem się tym wcześniej, bo chciałem być po prostu księdzem, a teraz mam to robić tu, gdzie rozstrzelacie mnie na wieść o tym, że jestem „klechą”[120]?

Don Josemaría powiedział mu, że znalazł się tutaj w drodze do drugiej strefy. Pascual starał się go od tego odwieść, ostrzegając o drobiazgowej kontroli granicznej i surowości kar. Złapanych podczas próby ucieczki skazywano na śmierć. Widząc, że nie jest w stanie go przekonać, ofiarował bezwarunkowo swoje usługi. Jeśli ksiądz będzie miał pecha i go złapią, niech nie zapomni dać mu znać.

Pascual otworzył swe serce przed przyjacielem. Wyznał mu, że rozczarował się politycznie. Przechodził trudne chwile. Anarchiści wyznaczyli mu ochroniarza. Bardziej niż na

chronieniu go, zależało im na inwigilacji. Ksiądz mówił mu o Bogu, starając się w jego duszy ożywić wiarę i nadzieję. Radca bronił się, odwołując do starych motywów i przesądów, właściwych osobie, która zrobiła zły użytek ze swych zdolności intelektualnych. Z jego optymizmu nie zostało już nic, a jego nadzieja była niczym gasnące światełko. Pascual nadal wysuwał te same argumenty co dawniej.

– Słuchaj chłopcze, żeby to wszystko twierdzić – przerwał mu ksiądz – przeczytałeś cztery lub pięć książek, których wcale nie powinieneś być czytać. Ale żeby zdobyć minimum kultury teologicznej, trzeba przeczytać o wiele więcej. Kiedy przeczytasz wszystko to, czego Ci brakuje, będziesz mógł wygłosić swoją opinię[121].

Z oczu Pascuala pociekły łzy...
Umówili się na inny dzień w jego

gabinecie w *Audiencii*. Podczas ich drugiej rozmowy toczył się proces kilku ludzi schwytanych przy przechodzeniu granicy z Andorą. Osądzono ich i skazano na karę śmierci. „Już wiesz, co Cię czeka” – powiedział księdzu Pascual. A ponieważ całe to widowisko nie zachwiało postanowieniem don Josemaríi, radca nalegał: „Jeśli cię złapią, powiedz, że jesteś moim bratem”[122].

Od chwili, gdy Vilaró wystawił ich do wiatru, w pełni uzależnieni byli od „Matea mleczarza”. Od czasu do czasu, zachowując mnóstwo środków ostrożności, kontaktowali się z nim, by czegoś się dowiedzieć. Mateo, dobroduszny i spokojny, namawiał ich do spokoju i zachowania wielkiej cierpliwości. Byli już od ponad tygodnia w Barcelonie, kiedy pewnego dnia Mateo wskazał im

innego człowieka, który prowadził grupy uciekinierów. Nazywał się Rafael Jiménez Delgado. Był to wojskowy, który miał legitymację Powszechnej Unii Pracujących (UGT – *Unión General de Trabajadores*) i głowę pełną projektów ucieczek. Udali się na spotkanie u niego w domu. Jak mogli się przekonać, nie brakowało mu ani zmysłu, ani środków do wdawania się w takie przygody. Większość z jego planów nie nadawała się jednak do realizacji, niektóre były nawet nazbyt ryzykowne, pomyślane jakby bez głowy[123].

22 października Mateo miał dla nich świetne wiadomości. Wyprawa była już wyznaczona w bardzo krótkim terminie. W najbliższych dniach miał przybyć do Barcelony niejaki Pallarés, kolega syna Matea, człowiek niezwyklej odwagi. Wobec takiej obietnicy ze strony Matea, Juan –na polecenie Ojca – udał się do Walencji,

aby przywieźć ze sobą Pedra i Paco, by ci przyłączyli się do ekspedycji[124].

W niedzielę 24 października w prasie katalońskiej pojawiła się niepokojąca wiadomość. Straż graniczna na granicy z Francją schwytła jedną z wypraw. *La Vanguardia* z Barcelony donosiła o tym sukcesie na pierwszej stronie: „Schwymano dziewięciu zbiegów. Jeden zabity i trzech rannych.” Poniżej opublikowano informacje udostępnione przez funkcjonariusza straży granicznej Mateo Badię z oddziału w Seo de Urgel. Informacja kończyła się takim oto panegirycznym: „Komendant główny policji, pułkownik Burillo, na wieść o dokonaniu agenta Matea Badii, zatelegrafował do Ministra Spraw Wewnętrznych z wnioskiem o awans dla niego”[125].

(Sądząc po dacie rozpoczęcia się tej ekspedycji, jest bardzo

prawdopodobne, że chodziło tu o wyprawę zorganizowaną przez Vilaró, który nie stawił się na spotkanie z Juanem Jiménezem Vargasem. Publikacja na temat „bohaterskiego czynu” funkcjonariusza Badii pokazuje, że przewodnicy takich wypraw byli twardymi ludźmi i potrafili się bronić. Wielu z nich było zawodowymi przemytnikami, a inni odważnymi i energicznymi ludźmi, jak Pallarés).

Gdy wzmocniono straż na punktach granicznych, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki znikły wszelkie ślady prowadzące do pośredników i wyparowały nawet najdrobniejsze ślady ich zakonspirowanych organizacji. I nie stało się tak z próżnego strachu (Mateo był bliski wpadnięcia w ręce policji, pod koniec listopada udało mu się jednak uciec do Argentyny, gdzie pozostał do końca wojny. Pod

koniec grudnia, podczas próby ratowania rannego członka swojej wyprawy, Pallarés został schwytany, a wkrótce potem rozstrzelany)[126].

Nastaly dni oczekiwania i przygotowań. Ojciec i pozostali musieli trenować, przygotowując się do czekających ich długich marszów w górzystym terenie. Codziennie spacerowali ulicami, pokonując imponujące odległości, wspinając się i schodząc, od portu na Montjuic albo ze starego miasta do Tibidabo. Pod koniec października pogoda była bardzo kiepska. Było zimno i padało. Mając na względzie górskie zimna i śniegi, kupili nieprzemakalną odzież i trochę zimowych ubrań.

Innym ich fizycznym przeciwnikiem był głód. Nie było łatwo go zaspokoić, skoro nie mieli pieniędzy na jedzenie. Ostatni obiad, godny tego miana, zjedli by uczcić święto świętego Rafała, 24 października.

Kosztowało ich to po 15 peset na osobę. Tego dnia goście okazali szeroki gest także donii Rafaeli. Podarowali jej, wedle sugestii don Josemaríi, bukiet kwiatów. Była to wyraz grzeczności, którego wdowa od dłuższego już czasu nie doświadczyła, a tym bardziej ze strony ludzi korzystających z jej gościny[127].

Pieniądzy brakowało, nawet wtedy, gdy jeszcze nie zapłacili „honorarium” osobom, które zajmowały się organizacją wyprawy. Każdy dzień oczekiwania oznaczał bolesny cios zadany ich oszczędnościom. Po podliczeniu okazało się, że jeżeli każdy miałby zapłacić po

2 000 peset, nie starczyłoby pieniędzy dla wszystkich. Taką sumę wskazał Mateo, jednak opatrzył ją dodatkowym warunkiem: te 2 000 peset musiało być w „dobrych”

banknotach. Znaczyło to, że musiały to być banknoty Banku Hiszpanii z serii wydanych przed 18 lipca 1936 roku, które były uznawane także w drugiej strefie. „Dobre banknoty” były dobrze rozpoznawane i bardzo pożądane. Praktycznie nie można ich było spotkać w obiegu. Był to oczywisty znak, że znaczna część ludności strefy republikańskiej spodziewała się zwycięstwa sił narodowych albo przynajmniej zabezpieczała się na taki wypadek.

Trzeba było jak najszybciej znaleźć pieniądze, i do tego pieniądze „dobre”. Najdziwniejsze jest to, że udało im się tego dokonać. Wszystko to zdarzyło się w sposób opatrnościowy. Ostatecznie Francisco Gayé, przyjaciel Tomása Alviry, syn nauczycielki z Badalony, którą wypowiadał don Josemaría, był tym, który stanął na wysokości zadania. Gayé był urzędnikiem Banku Hispanoamerykańskiego i pod

wpływem nacisków i ciągłych próśb Tomása, odważył się zwędzić „dobre” banknoty, podmieniając je innymi. Działał bardzo odważnie, wspierany wiarą Tomása, gdyż kontrola banknotów w bankach dokonywana była niezwykle starannie[128]. (Tomás nie należał jeszcze do Dzieła, jednak przebywając z pozostałymi, przyzwyczajał się, że interwencje Aniołów Stróżów w tak skomplikowanych czasach, zdarzały się na porządku dziennym)[129].

25 października, gdy Juan zjawił się znienacka w Walencji, bardzo się zdumiał. Nic nie wiedział o karze Pedra, któremu zostało jeszcze 7 dni do wyjścia na wolność. Poszedł wraz z Paco Botellą odwiedzić więźnia. Wspólnie, na własną odpowiedzialność, postanowili wyjechać do Barcelony jeszcze tego samego dnia, gdy Pedro zostanie wypuszczony na wolność. Uzgodnili, że w międzyczasie Juan uda się do

Daimiel. W tym miasteczku w La Manczy schronił się inny członek Dzieła, Miguel, brat Loli Fisac. Już ponad rok spędził w ukryciu, na poddaszu domu swoich rodziców. W tej sytuacji operacja jego ewakuacji była wielce ryzykowna, gdyż nie miał odpowiednich dokumentów, a poza tym brakowało mu sił z powodu całych miesięcy spędzonych w zamknięciu. To pierwsze znalazło łatwe rozwiązanie – wystawiono mu zezwolenie na jednym z druków sygnowanych przez Generalną Dyрекcję Stajni Wojskowych (*Dirección General de la Remonta*), które Pedro trzymał u siebie w domu[130].

27 października Juan wyjechał do Daimiel, a 30 był z powrotem w Walencji, razem z bladym jak trup Miguelem. 31. o dziewiątej rano wypuścili Pedra, przy czym nie obyło się bez ostrzeżenia ze strony komendanta, który zapowiedział mu

przykładową karę w przypadku recydywy[131]. Pedro z widoczną skruchą zapewnił go, że się to nie powtórzy. (Prawdopodobnie Pedro nie miał zamiaru wracać ani do karceru, ani do wojska, skoro już od chwili powrotu z Barcelony postanowił zdezerterować).

2 listopada o ósmej rano, gdy Ojciec kończył odprawiać Mszę Świętą, zjawiała się w pensjonacie donii Rafaeli cała czwórka z Walencji. Opowiedzieli zaraz o swoich przygodach, o dezercji Pedra oraz o wezbraniu rzeki Ebro, która wylała w Amposcie. Powódź zmusiła ich do spędzenia tam nocy, bowiem dopiero następnego dnia mogli złapać połączenie kolejowe na drugim brzegu rzeki. Aby uniknąć wszelkich niespodzianek, rozdzielono nowych gości. Trzech z nich zamieszkało w domu przy ulicy Republica Argentina, w którym schronienie

znalazła dla nich wdowa
Montagut[132].

Jak radził „Mateo mleczarz”, nie pozostawało im nic innego niż czekać z wyjazdem na bardziej sprzyjające okoliczności. Jakby tego było mało, w ostatnim tygodniu października wylały rzeki w Katalonii, powodując powódzie w różnych miejscach. Ojciec na kartce pocztowej z 30 października spokojnie informował o tym Isidora: *Mój Drogi Przyjacielu, dwa słowa powitania i wiadomość, że z powodu deszczów moja podróż opóźnia się o cztery albo sześć dni*[133].

Jeszcze bardziej opóźniła ją przeprowadzka władz republikańskich z Walencji do Barcelony, która miała miejsce 31 października, co wzmocniło sprawność funkcjonowania policji z powodu wzrostu wpływów komunistycznych[134]. Nierzadko

teraz można było spotkać informacje prasowe jak ta z *La Vanguardii* z 31 października: „*Porządek publiczny. Pozbawieni dokumentów*”. Policja schwytała ponad 80 osób bez dokumentów w kawiarniach, na stadionach, w kabaretach i innych miejscach rozrywki”. Bardzo zbliżone do braku wszelkich dokumentów było posiadanie przeterminowanych przepustek wojskowych, w jakie, dzięki możliwościom Pedra, byli wyposażeni walencjanie. Pedro jednak nie był w stanie przewidzieć, że pobyt w Barcelonie przedłuży się aż tak bardzo. Kolejny stopień zagrożenia stanowiły nieaktualne pozwolenia podrózne. To był przypadek tych z Madrytu, którzy także nie byli w stanie wyobrazić sobie, że spędzą tutaj na oczekiwaniu cały miesiąc.

Nie było zatem innego wyjścia niż wymazać daty i zastąpić je bardziej

aktualnymi. W tym przedsięwzięciu okazała się nieodzowna współpraca jednego z wujów Tomása Alviry, który pracował w administracji szpitala, gdzie miał do dyspozycji własne biuro[135]. Za pomocą dobrego wywabiacza atramentu oraz maszyny do pisania o takim samym kroju czcionki dokonali poprawek w dokumentach. Niektóre dokumenty, jak na przykład zezwolenia na podróż Ojca i Tomása, łatwo było poprawić, gdyż ważne były przez 30 dni, począwszy od 5 października. Wystarczyło postawić w dacie 2 przed 5, by przedłużyć ich ważność aż do 25 listopada. Zezwolenia wojskowe były natomiast zwykle wystawiane na bardzo krótki czas, z dokładnym wyszczególnieniem dat. Dokumenty te w połowie listopada przeszły więc szczęśliwie niejedną taką poprawkę. Nie trzeba jednak dodawać, że nie wszystkie przeszłyby przez drobiazgową kontrolę policyjną. Ojciec, gdy z ludzkiego

punktu widzenia sytuacja wydawała się bez wyjścia, uciekał się niestrudzenie do wstawiennictwa Aniołów Stróżów i zalecał, by wszyscy czynili podobnie. Jak twierdzi Juan, niektóre z ich interwencji miały charakter bardziej niż „spektakularny”[136].

Przez cały ten czas Mateo podtrzymywał w nich nadzieję. Kolejna ekspedycja była właśnie organizowana. Zdradzając się ze swymi pragnieniami, 6 listopada Ojciec wysłał do Isidora kartkę pocztową: *Mam nadzieję, że cała rodzina jest zdrowa. Wszyscy tutaj są bardzo zadowoleni, i w każdej chwili dziadek spodziewa się wyjazdu do José Ramóna, wraz z siedmioma wnuczkami*[137].

Ten wyjazd, który miał nastąpić w *każdej chwili*, przesunął się o dwa tygodnie. Wojnie nerwów towarzyszyła pustka w żołądku. Nie

mieli kartek żywnościowych, nie byłyby też rozsądne próby ich zdobycia. Zawsze oczywiście można było kupić żywność na czarnym rynku, ale nie było na to pieniędzy. Jedyne, czego mieli pod dostatkiem, to głód. Jedli tylko raz dziennie i to bardzo skromny posiłek. Trzeba było, mimo wszystko, robić piesze ćwiczenia, aby wprawiać się przed drogą, chociaż takie ciężkie marszruty trudne były do połączenia z głodem[138].

Z pewnością także wiele innych osób cierpiało głód. Ten fakt w zasadzie nie mógł ich pocieszyć, ale wzbudzał ich współczucie. Ojcu wiele przykrości sprawiał fakt, iż nie dojadają dwaj maleńcy bratankowie José Maríi Albaredy, którzy mieszkali razem z donią Pilar. Kiedy ksiądz jadał śniadanie w barze (wtedy, gdy w ogóle jadł śniadanie), zwykle podawano mu zagotowaną kawę zbożową zamiast prawdziwej i kilka

słonych ciasteczek, które zatrzymywał dla dzieci.

– Zrób tym stworzonkom przyjemność – mawiał do Pedra.

A Pedro, wyposażony w papier i ołówek, pytał ich, co chcą, żeby im narysował. Dzieci nie chciały nic innego, tylko coś do jedzenia.

Pewnego dnia narysował im danie złożone z dwu smażonych jajek, z hojnym dodatkiem smakowitych kiełbasek. Malcy aż piszczeły z radości. Na stronie Ojciec zwrócił współczująco uwagę rysownikowi:

– Mój synu, czy ty nie zdajesz sobie sprawy, że to psychiczne okrucieństwo, rysować to wszystko tym wygłodniałym dzieciom?[139]

Niebezpiecznie było krążyć po ulicach w grupach cztero- czy pięcioosobowych, gdyż zwracało to uwagę. Ojciec natomiast pilnował, by zbierali się na spotkaniach

rodzinnych w jednym z pensjonatów, w którym się zatrzymali. To stwarzało oczywiste niebezpieczeństwo. Z drugiej jednak strony stanowiło środek, by podtrzymywać ich na duchu i uniknąć tego, by któryś opuścił się w swoim życiu wewnętrznym albo pozwolił opanować się depresji[140]. Ojciec bez wątpienia był duszą całej grupy. Nie troszczył się o sprawy materialne, w tej dziedzinie bowiem otwarcie im oświadczył, że jego rzeczą jest być posłusznym: „Jednego z pierwszych dni pobytu w Barcelonie – opowiada Paco Botella – Ojciec oświadczył nam, że aby wydostać się z czerwonej strefy, oddaje się jak dziecko w ręce Juana i gotów jest postępować zgodnie z jego zaleceniami. Rzeczywiście, Juan i Ojciecczęsto rozmawiali w cztery oczy gdzieś na uboczu”[141].

W połowie listopada Mateo wyznaczył pewną datę wyjazdu.

Mieli wyruszyć z Barcelony w piątek 19 listopada. Przekazał też stosowne wskazówki dotyczące środków transportu, przystanków oraz sygnałów rozpoznawczych, by dać się rozpoznać łącznikom. Stosownie do tych ustaleń po raz ostatni zostały sfalszowane dokumenty, wpisane zostały dokładne dane, jeśli tylko papiery umożliwiały tego rodzaju manipulację. Niektóre zezwolenia podróżne, na przykład to należące do Ojca, umożliwiały ten nowy zabieg. Wystarczyło w wolnym miejscu dopisać na maszynie nowe miejsce docelowe podróży[142].

Ostatnie przygotowania czynione były bardzo oszczędnie. Kupili trochę leków, ponadto sześć dodatkowych płaszczy nieprzemakalnych, kilka par wysoko sznurowanych łapci oraz parę wysokich butów dla Ojca. On sam dotychczas chodził w marynarce i wiązał krawat, stosownie do swojej

funkcji intendenta, teraz jednak musiał szybko zmienić ubiór[143].

Nadszedł czas pożegnania. Ojciec wysłał kilka listów i pocztówek: do Isidora, do konsula Hondurasu i dwie kartki do Loli Fisac. Druga z nich była następującej treści:

Barcelona, 19 listopada 1937.

Moja Droga Przyjaciółko, tylko parę słów, żeby Ci powiedzieć, że dziadek dziś wyjeżdża razem z wnuczkami do José Ramóna. Prosi, żeby Ci przekazać, że napisze w ciągu miesiąca.

Uściski,

Josemaría[144].

Potem pożegnał się z „Mateo mleczarzem”, okazując mu swą głęboką wdzięczność. Także donia Rafaela żałowała, że jej goście wyjeżdżają. Nie zapomniała strachu,

jaki czuła na myśl, że ksiądz mógł zostać złapany w czasie odprawiania Mszy Świętej. Nie była ona kobietą naiwną lub strachliwą ani nie zawodziła jej pamięć. Jeszcze w wieku 85 lat pamiętała Ojca jako człowieka „bardzo roztropnego” i grzecznego w kontaktach[145]. Bez wątplenia na donii Rafaeli zrobił wrażenie porządek i delikatność, które wiązały się ze wszystkim, co robił ten ksiądz. Było jednak coś więcej, co jest trudniejsze do wytłumaczenia: jego szczególna naturalna elegancja. Ten sposób bycia i godność w zachowaniu zwracały wówczas uwagę[146]. Warto wspomnieć, że schodząc całą Barcelonę w poszukiwaniu restauracji, w których można było dostać posiłki w przystępnych dla nich cenach, Ojciec wraz z innymi znaleźli i odwiedzali dwa miejsca, gdzie mogli zjeść w spokoju. Jednym z nich była garkuchnia, brudna i zaniedbana, drugim skromniutki

lokal przy ulicy Tallers 64, pod szyldem „Bar Restaurant l’Aliga Roja”. W tej restauracji na stołach leżały obrusy, nakrycia były czyste, a ceny niemal takie same, jak w garkuchni. Wszyscy jednak woleli to brudne miejsce, bo posiłki tam były obfitsze, choć tylko odrobinę.

Wszyscy, z wyjątkiem Ojca, którego pociągały czystość i prostota „L’Aliga Roja”. Mimo to, biorąc pod uwagę powszechną opinię, dawał się prawie zawsze przekonać swoim synom, którzy pełni dobrej woli chodzili do lokalu, gdzie podawano większe porcje[147].

6. Róża z Rialp

Juan jako lekarz całej grupy brał na siebie poważną odpowiedzialność. Bał się zwłaszcza o to, by odporność fizyczna członków grupy nie zmalała zbyt podczas ciężkich marszów po górach. Zwłaszcza niepokoił go stan zdrowia Ojca, ponieważ pod koniec

października spędził on kilka dni w łóżku, z wysoką gorączką[148]. Podobnie Tomás i Manolo dochodzili do siebie po świeżo przeżytym zapaleniu okrężnicy. José María nie cierpiał na żadne szczególne dolegliwości, podobnie jak Pedro i Paco, którzy od początku wojny prowadzili w miarę normalne życie. Jeśli chodzi o Miguela, jego mięśnie regenerowały się bardzo szybko dzięki wędrówkom po Barcelonie.

W piątek 19 listopada, o pierwszej po południu sześciu z nich wsiadło do autobusu jadącego w kierunku Seo de Urgel. (Manolo Sainz de los Terreros oraz Tomás Alvira[149] wyjechali z Barcelony w dwa dni później po to, aby grupa nie była zbyt liczna, co mogłoby wzbudzić podejrzenia). Ojciec, José María[150] i Juan usadowili się w przedniej części autobusu, natomiast w tylnych rzędach zajęli miejsca: Pedro, Paco i Miguel. Zgodnie z otrzymanymi

instrukcjami ta ostatnia grupka, która już na pierwszy rzut oka składała się z młodych ludzi w wieku poborowym, a których dokumenty nie były w zbyt dobrym stanie, wysiadła z autobusu na przystanku Sanahuja, gdzie czekał już na nich przewodnik. Od tego momentu, w miarę jak podróżni zbliżali się do granicy, kontrole policji i milicjantów stawały się coraz częstsze i bardziej skrupulatne.

Ojciec, Juan i José María wysiedli nieco dalej od wioski Oliana, w pobliżu miejsca, gdzie odbijała szosa do Peramola[151]. Od razu rozpoznali łącznika, który szedł za nimi oddalony na rozsądną odległość, dopóki nie dołączył do nich na osłoniętym odcinku drogi. Powiedział, że nazywa się Antonio Bach, a mówią na niego „Tonillo”. Był listonoszem i urzędnikiem rady miejskiej. Był człowiekiem zdecydowanym i odważnym,

któremu już niejeden uciekinier zawdzięczał życie. Jak się wydaje, don Josemaría szybko zwierzył mu się, kim jest. Ksiądz miał na sobie kombinację ubrań dość dziwaczną, chociaż żadne z nich nie miało nic wspólnego ze strojem duchownego. (Nosił welwetowe spodnie, bufiaste i zebrane nad kostką, wełniany granatowy sweter z golfem, który był na niego zbyt obszerny, a także buty z gumową podeszwą, z wyprawionej skóry, która niestety strasznie przemiękała przy pierwszych kroplach wody, a na głowie miał wielki czarny beret)[152]. „Zaraz po tym, jak rozpoczęliśmy wędrówkę – wspomina Tonillo – ten pan w niebieskim swetrze powiedział mi, że jest księdzem i rektorem kościoła Świętej Izabeli w Madrycie. Wyjaśnił mi to ot tak, sam z siebie, jakby go nie obchodziło, że wszyscy wiedzą, że jest księdzem”[153].

Zapadł już zmrok, gdy przybyli do Peramoli. Okrążyli wioskę i Tonillo ulokował ich w jakiejś stodole, obiecując, że przyjdzie skoro świt ich obudzić. Jak tylko się położyli, zakotłowało się od biegających wokół myszy i szczurów.

Prawdopodobnie śmiertelnie zmęczeni Juan i José María zasnęli jak zabici. Jednak nie Ojciec. Jego myśli krążyły wokół tych synów, których zostawił w Madrycie, a także tych, którzy znajdowali się na froncie. Zaczął się modlić i przeżywać na nowo to, co dwa dni wcześniej napisał Loli Fisac: *Biedny staruszek, wiele myśli o wszystkich i o każdym z osobna. Z don Manuelem codziennie rozmawia długo i martwi się o całą rodzinę*[154].

Jeszcze się nie rozjaśniło, gdy pojawił się w stodole Tonillo wraz ze swoim synem Paco, chłopcem czternastoletnim, z pytaniem, jak im minęła noc. – Mieliliśmy tu

towarzystwo - powiedział mu Ojciec. Tonillo zaniepokoił się, póki mu nie wytłumaczyli, że chodziło o mysie harce i wyścigi.

Nie było żadnych wiadomości o tych z Sanahuju. Możliwe, że odpoczywali po całonocnym marszu. Ojciec, aby podnieść wszystkich na duchu, zostawił im parę słów w domu Tonilla. Pisał w liście, co następuje:

W górach Rialp, 20 listopada 1937.

Przypuszczam, że się grzebiecie po upojnej nocy, jaką mieliście.

Wszystko, co ma jakąś wartość, kosztuje. Poza tym, jeśli chcecie, ani jeden z waszych kroków nie pójdzie na marne.

Zostawmy filozofię. Dobrze skorzystajcie z siana – nie można się nim najeść, co? Śpijcie dobrze i nie zwracajcie uwagi na gromady myszy, które wyjdą Wam na powitanie.

*Jesteśmy bardzo zadowoleni:
dziękujemy dobrym tutejszym
ludziom, choć szkoda, że nie przybyli
nasi przyjaciele z Madrytu (José
María, Álvaro i inni).*

*Podjedźcie sobie i nie zapominajcie o
D. Manuelu.*

Wspomnijcie o tamtej dwójce.

Ściskam Was,

Mariano.

*Do jutra. Paco – chłopcu, który
wręczy Wam tę kartkę, może
zrobilibyście portrecik, taki obrazek,
na którym ładnie by się
prezentował[155].*

Prowadzeni przez Paco Bacha
rozpoczęli marsz w kierunku
gospodarstwa Vilaró. W połowie
drogi zaczęło świtać, pokonali już
jednak kilka wzniesień i nie można
ich było zauważyć pod osłoną

gęstych sosen. Szybko dotarli do domu Vilaró, znajdującego się na niewielkim wzniesieniu, skąd roztaczał się rozległy widok na okolicę, co umożliwiała ucieczkę, gdyby zbliżali się strażnicy albo milicjanci. „Gospodarz” domu, Pere Sala, ucieszył się, gdy Ojciec powiedział mu, że jest księdzem i że chciałby odprawić mszę. W jednym z pokoiów przygotowali stół. Z jednego z plecaków wyjęli cały starannie przyniesiony z Barcelony ładunek: hostie, kryształową szklaneczkę, służącą jako kielich, niewielki korporał, puryfikaterz, krzyż, buteleczkę z mszalnym winem i zeszyt, do którego przepisano kanon i kilka tekstów mszy świętych wotywnych[156].

Dzień spędzili ukryci w stodole, a na noc wrócili, by się przespać w domu, który znajdował się tuż obok. Jednak Ojciec, nie mając wiadomości o walencjanach – o Pedrze, Paco i

Miguelu – ledwie zmrużył oko. Z powodu tej niepewności wrócił jego niepokój o pozostałych członków Dzieła. Trwało to aż do chwili, gdy bardzo wcześnie rano otrzymali wiadomość, że druga grupa jest już w stodole w Peramoli.

Tak zaczęła się niedziela 21 listopada. Ojciec zwlekał z odprawianiem mszy, czekając na tych z Peramoli, którzy jednak pojawili się dopiero w trakcie mszy. Następnie zasiedli do stołu razem z rodziną Pere Sali. Przy śniadaniu świeżo przybyli opowiadali o swoich przygodach, od chwili gdy wysiedli z autobusu w Sanauja: o tym, jak mieli trudności z hasłem dla przewodnika i o tym, jak o północy zgubili drogę. Zboczyli z niej z winy przewodnika, który był cudzoziemcem, nie znał dobrze okolicy i z trudem tylko można się było z nim porozumieć, gdyż nie mówił ani po katalońsku, ani po hiszpańsku. Nie udało im się

dotrzeć do Peramoli wcześniej niż pod wieczór następnego dnia, gdy zmuszeni byli oczekiwać na skraju wioski aż się ściemni, aby móc zanoćować na sianie z myszami. Spędzili ponad 20 godzin w marszu. Przeczytali notatkę Ojca i Pedro naszkicował ołówkiem portret Paca, syna Tonilla...[157]

Odrętwienie towarzyszące zmęczeniu nieco zacierało u Pedra ostrość widzenia rzeczy. Mimo radości z połączenia się po tak pełnym niepokoju oczekiwaniu, dało się wyczuć w powietrzu coś dziwnego. Siedząc za stołem, jedli do syta: kartofle, paprykę, boczek, chleb i wino. W dalszej części dziennika, opisując zdarzenia tego dnia, Pedro wspomina o tym, co ich gnębiło, starając się nakreślić stan ducha don Josemaríi: „Jednak wszyscy czujemy się jakoś dziwnie: powodem jest to, że Ojciec się martwi. Nie da się ukryć. Tam w Madrycie zostało kilku

naszych, którzy nie mogli wyjechać...”[158]. Myśli stale szybowały ku Madrytowi.

Znajdowali się w samym środku Baronii Rialp. Ziemia ta wywodziła swą nazwę od rzeki Rialb – rzymskiej *rivus albus** – która zbierała w sobie wody niezliczonych strumyczków wypływających z wąwozów i dolin, aby oddać je rzece Segre. W rozwidleniu tych dwu rzek znajdowała się Peramola i dom Vilaró. Krajobraz był górzysty, z łańcuchami górskimi średniej wysokości, okolica pozbawiona była dróg, a doliny i zbocza gór porastały sosny i dęby zimozielone.

Po południu zjawił się Pere Sala, by powiedzieć im, że powinni ruszać w drogę, gdyż nie było zbyt bezpiecznie zatrzymywać się w domu. O zmierzchu, mniej więcej po kwadransie marszu, ujrzeli kościół w

Pallerols. Na lekkiej pochyłości, pomiędzy drzewami widoczna była sylwetka wieży i mury niewielkiego kościółka lub kapliczki. Do absydy kościoła przylegała plebania, która z powodu swych rozmiarów i wysokości przewyższała dach kościółka[159]. Na pobliskich wzgórzach rozsianych było kilka domów i zabudowań, które wszystkie wyglądały na opuszczone. Drzwi prowadzące na plebanię nie miały zamka. W ślad za Pere Salą uchodźcy wspięli się po schodach na pierwsze piętro. Zapadła już noc i przewodnik zapalił świecę. Znajdowali się w obszernym i pozbawionym mebli pomieszczeniu, z którego wychodziło kilkoro drzwi oraz wyjście na balkon, skąd widać było całą dolinę. Pere otworzył jedne z drzwi i w słabym blasku świecy ledwie ujrzeli wewnątrz niewielkiego pomieszczenia z niskim i sklepionym sufitem. Mury były szerniałe, tynk pokryty sadzą, a na podłodze leżało

trochę słomy. Pokoik nie miał innego źródła powietrza prócz okienka, słabo zakrytego kilkoma deskami. W ciemnościach, w drżącym świetle świecy wydawało się, że to wewnątrz pieca[160]. To było miejsce, gdzie mieli spędzić najbliższą noc. Nie wolno im było palić światła i musieli dobrze zamknąć drzwi, jak poradził im przewodnik.

Potem, cały czas prowadzeni przez Pere Sałę, znaleźli się w holu plebanii. Nie wychodząc na zewnątrz, zeszli po schodach do zakrystii i przeszli do kościoła. Przewodnik pokazał im całkiem nagie ściany świątyni. Figury, ołtarze, a nawet dzwony zostały wyrwane i zniszczone przez milicjantów jeszcze w 1936 roku[161]. Nie poprzestali na zniszczeniu, lecz wszystko zamienili w popiół. Na zewnątrz budynku uczynili ze swych zdobyczy prawdziwie obrazoburczy stos. W niepewnym blasku świecy Ojciec

szukał jakiejś pamiątki, którą mógłby zabrać z intencją naprawienia tak wielkiego barbarzyństwa. Mimo że bardzo starał się coś dojrzeć, niczego nie znalazł.

Znowu weszli do holu plebanii schodami wewnętrznymi. Pere pożegnał się, umawiając się, że jutro ich stąd zabierze. Na kolację zjedli chleb z kiełbasą, który dostali od gospodarzy. Później odmówili *Preces Dzieła*, zostawiając wszystko przygotowane do odprawienia mszy na stole w holu, bo w kościele zostały jedynie ławki. Wrócili do sklepionego pokoiku, zgasili świeczkę i położyli się na sianie. Juan i Ojciec legli w głębi tego wąziutkiego pokoju. Bardzo blisko nich Pedro i Paco, a przy drzwiach wejściowych José María i Miguel[162].

Leżeli już pewien czas, gdy Paco usłyszał, że Ojciec poruszył się i zaczął niespokojnie oddychać. Wtedy

Juan podniósł się i otworzył okno, aby Ojciec mógł choć trochę zaczerpnąć świeżego powietrza. Nie udało mu się jednak mu ulżyć. Jak wspomina Paco Botella: „Ojciec najpierw wydawał z siebie słaby odgłos, który przechodził w bolesny jęk. Potem dał się słyszeć słaby szloch, który zdawał się narastać”[163].

Juan rozmawiał z Ojcem przyciszonym głosem i nie można ich było usłyszeć. Szepty zbudziły Pedra, który spytał on Paca, co się dzieje. Ten o to samo spytał Juana. Jednak odpowiedzią ze strony Juana było znaczące milczenie. (Wiedział, że wątpliwości znowu zaczęły trapić duszę Ojca, który przechodził właśnie ciężką próbę wewnętrzną).

Tymczasem szlochy Ojca stawały się coraz głośniejsze, a oddech coraz bardziej świszczący. Natężając słuch, w ciemności, która zdawała się

potęgować dźwięk głosów, Pedro usłyszał kilka urwanych słów Juana, które ogłuszyły go niczym cios obuchem: „przeniesiemy księdza na drugą stronę żywego lub zmarłego”[164]. Wydawało mu się nie do pomyślenia, by któryś z nich tak traktował Ojca. Przeraził się. To było ponad jego siły. Wezwał Najświętszą Panienkę i zapadł w głęboki sen, zwyciężony przez zmęczenie i silne emocje.

Tylko Juan zrozumiał, że ponawia się, w sposób jeszcze bardziej dotkliwy, próba z 15 listopada w Barcelonie. Wtedy Ojciec wyszedł z domu, zdecydowany wsiąść do pociągu do Madrytu, gdyż nie zniósł myśli, że może przeciwstawia się woli Boga, porzucając swoich bliskich. Ta noc była pełna bólu, wspomina Paco Botella: „Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak płakał. I od tamtej pory nie przeżyłem czegoś podobnego. Była to wstrząsająca

udręka, najgłębszy ból, który przejmował drżeniem. Trwało to długo, godzina za godziną, aż do świtu. Miałem dość czasu, by wryło mi się to w pamięć na zawsze”[165].

Z tej walki z sobą samym, z wątpliwości, którą drogę wybrać, czy tę do Madrytu, czy do Andorry, wzięło się straszliwe, lecz oczyszczające doświadczenie mistyczne. Zdawało się, że na pierwotne poczucie niepewności nałożyło się jeszcze co innego, jakby coś dławilo jego duszę i dręczyło umysł. Tymczasem gorące pragnienie miłości do Boga miotalo się we wnętrzu jego duszy, z trudem torując sobie drogę na powierzchnię.

Pod koniec tej tak długiej nocy uczucie duszności ustąpiło miejsca skrusze, a dusza w swym żywym pragnieniu, by utwierdzić się w przyjaźni z Bogiem poczuła się wewnętrznie zmuszona, by

odważnie i ufnie przedstawić swe wątpliwości. Jeszcze przed północą ksiądz, pognębiony cierpieniem, prosił Pana, by zesłał mu bezzwłocznie jakiś namacalny znak, że postępuje nie wedle własnych chęci, lecz zgodnie z wolą Bożą[166].

Gdy zaczęło świtać, Ojciec uspokoił się i trwał w modlitwie, prosząc za wstawiennictwem Najświętszej Maryi Panny o spokój dla swej duszy, skruszonej i dręczonej jeszcze przez lęk, że nie wypełnia woli Bożej.

Wstał o świcie, by otworzyć okienko. Bolesny, lecz spokojny wyraz jego twarzy odzwierciedlał całą udrękę, jaką przeszedł w ciągu nocy, oraz gorycz, przepajającą jeszcze jego duszę. Wraz z nim wstali pozostali. Poinformował Juana, że nie będzie odprawiał mszy. Trawiła go myśl, że pozostaje w niezgodzie z zamysłami Bożymi. Poprosił swych towarzyszy, żeby pozbierali wszystko ze stołu w

holu. Następnie szybko zniknął na schodach prowadzących do zakrystii.

Po chwili znów zjawił się w holu, zmieniony, promieniejący radością. Widać było, że jest szczęśliwy. Z jego twarzy znikł wszelki ślad zmęczenia. W rękę trzymał jakiś pozłacany przedmiot z drewna. Była to róża.

– Juan, schowaj ją, tylko ostrożnie –
rzekł.

– I przygotujcie wszystko do mszy.
Będę odprawiał[167].

Wobec tego faktu o charakterze nadprzyrodzonym bardzo znaczący jest sposób, w jaki Juan i Ojciec o nim mówią (czy też go przemilczają).

Juan, główny świadek tamtej smutnej nocy, czy to przez skromność, czy to na skutek zakłopotania, a może z powodu własnego charakteru przemilcza nocne wydarzenia. Swe

opowiadanie rozpoczyna następująco: „Następnego ranka, w poniedziałek 22. miał miejsce fakt, o którym – by uniknąć posmaku sensacji i wszelkiego typu interpretacji – moim zdaniem trzeba opowiedzieć zwięźle [...]. [Ksiądz Josemaría] wyszedł z pokoju i jak się wydaje zszedł do kościoła. Po krótkim czasie wrócił. Całe jego zatroskanie znikło. Chociaż nic nie powiedział, sam jego wygląd wskazywał na to, że jest bardzo radosny. Niósł złożoną drewnianą różę. Wszyscy mieliśmy poczucie, że ta róża ma głębokie znaczenie nadprzyrodzone, chociaż nie mówił o tym ani słowem. Zachował ją ze szczególną pieczołowitością i trzymaliśmy ją w plecaku wraz ze wszystkim, co było potrzebne do odprawienia Mszy Świętej”[168].

Patrząc na tę sytuację z ludzkiego punktu widzenia wydaje się całkiem zrozumiałe, że Pedro uciekł w sen, by

nie być świadkiem tego, co się dzieje. „Powinienem żałować, że tak głęboko przespałem tamtą noc – tłumaczy sam siebie – jednak, jeśli mam być szczery, to raczej się z tego cieszę. Przyznaję, że kiedy widziałem, że w życiu naszego Ojca zbliża się coś nadzwyczajnego, o charakterze nadprzyrodzonym, odczuwałem szczególny strach, byłem bardzo przerażony”[169].

Założyciel Opus Dei, z powodu pokory, a także dlatego, że chciał zaoszczędzić swoim synom pokusy fantazjowania o rzeczach nadprzyrodzonych bez wkładania odpowiedniego ludzkiego wysiłku w rozwiązywanie problemów, nie był także chciał udzielać zbyt wielu informacji na temat pochodzenia tej drewnianej róży: *To jest róża ze złoczonego drewna, bez żadnego znaczenia* – mówił grupie swoich synów w 1961 roku – *Tam, w pobliżu katalońskich Pirenejów po raz*

pierwszy trzymałem ją w rękach. Był to podarunek od Najświętszej Pani, przez którą spływają na nas wszystkie dobra. Tyle razy nazywaliśmy ją Różą Duchowną!... Jednak już nie przypominam sobie tamtego zdarzenia, mam tylko w pamięci to, że powinienem dziękować Panu za Jego miłosierdzie okazane Dziełu i mnie samemu[170].

Po raz pierwszy bezpośrednio nawiązał na piśmie do wydarzeń w Rialp w jednej z notatek zawartych w *Zapiskach wewnętrznych*, w dniu 22 grudnia 1937 roku. Jednak ponieważ chciał opowiedzieć o wydarzeniu nadprzyrodzonym i jednocześnie zatrzeć wszelkie własne w nim uczestnictwo, jej redakcja jest tak niejasna, że całe wydarzenie traci swoją zasadniczą spójność, jeśli czytelnik nie wie o wydarzeniach poprzedzających to, co się stało[171].

Pozłacana róża jest obecnie przechowywana w kurii prałackiej Opus Dei.

7. Chata Świętego Rafała

Tego samego ranka, po wysłuchaniu mszy, spotkali się z Tomásem i Manolo, którzy poprzedniego dnia wyruszyli z Barcelony. Tonillo przenocował ich u siebie w domu, oszczędzając im nocy z myszami na sianie w Peramoli. Potem wszyscy razem zjedli śniadanie w domu Vilaró. Podano pieczone ziemniaki z wiejską kaszanką, podlane dzbanem czerwonego wina. Zrobili sobie spacer po okolicy, a wieczorem przewodnik zaprowadził uciekinierów głębiej w las, jakieś pół godziny drogi od Pallerols. Dotarli do miejsca gęsto zarośniętego sosnami, w pobliżu szczytu jakiegoś wzgórza. Znaleźli tam chatę zbudowaną z drewnianych bali, z podłogą lekko wkopaną w ziemię. Dach był

zrobiony z gałęzi sosnowych.

„Barak”, jak go nazywał Pere Sala, znajdował się pod szczytem i był niewidoczny z doliny. Z góry zaś można było podziwiać rozległą panoramę, aż po szczyt Aubens na północy[172].

Ojciec nazwał obozowisko Chatą Świętego Rafała, ku czci Rafała archanioła, patrona Dzieła i wędrowców. Widać było, że przechodziła tędy wcześniej inna ekspedycja, a między innymi jakiś ksiądz, jak zdawał się wskazywać ołtarz zbity z desek i kilku sosnowych bali. Ulepszyli go, dostawiając pionowy kij, na którym można było zawiesić krucyfiks.

Następnego dnia, bardzo wcześnie rano Ojciec odprawił mszę na tym polowym ołtarzu, po raz pierwszy na świeżym powietrzu, w miejscu tak monumentalnym i pięknym. Potem kilku z nich zeszło do domu Vilaró po

śniadanie. Inni poszli do pobliskiego źródła, by zaczerpnąć wody. Znaleźli jednak nie tylko źródło, ale i proboszcza Peramoli, księdza Josepa Lozano, który już od piętnastu miesięcy ukrywał się w lesie, mieszkając w szałasie wraz ze swoim bratem[173].

W żartobliwym tonie, by podtrzymać na duchu uczestników wyprawy, Ojciec zaplanował na popołudnie tego dnia konstytucyjne zgromadzenie generalne pod własnym światłym przewodnictwem. Jego celem było rozdzielenie obowiązków, wyznaczenie planu pracy i wypełniania norm pobożności.

Jednogłośnie zaaprobowano następujący regulamin:

Plan dnia:

Pobudka 7.00

Modlitwa 7.15

Msza Święta 7.45

Preces

Śniadanie i pierwsza część Różańca
Świętego

Zbieranie chrustu, spacer etc.

Anioł Pański i druga część 12.00

Obiad, Nawiedzenie Najświętszego
Sakramentu, spacer.

Modlitwa i lektura dziennika 17.00

Konferencja 19.00

Kolacja i trzecia część Różańca
Świętego

Rachunek sumienia, punkty,
spoczynek.

*D[eo] O[mnis] G[loria]**

Szybko zdali sobie sprawę ze znaczenia tego planu dnia, który stanowił podstawę dyscypliny, środek obronny przeciw rozleniwieniu i upadaniu na duchu oraz sposób na umacnianie optymizmu[174].

Do tego planu dnia dodać należy zajęcia należące do poszczególnych osób: sprzątanie, przynoszenie wody, przygotowywanie jedzenia, prowadzenie dziennika... Pedro wykorzystywał chwile wolne na dokonanie szczegółowego opisu swoich przygód z 19 i 20 listopada. Pod osłoną lasu i po obfitym posiłku, dwudziestogodzinny nieprzerwany nocny marsz opisany został przezeń z odcieniem liryzmu: „Księżyc, niemal w pełni, wszedł już na niebo i swoim zimnym, srebrzystym światłem zalewał góry i doliny, tworząc niezwykle piękne widoki”. (Potem jednak przypomniał ciężar swego doświadczenia, ponieważ

natychmiast dodawał: „teraz, na papierze i z piórem w ręku, bardzo łatwo jest mi wchodzić pod górę i schodzić, przemierzać doliny, ale w rzeczywistości te tak bardzo pasujące do literatury warunki nie miały tak poetyckiego charakteru”)[175].

W tym czasie w Madrycie już wiadano, że w piątek 19 wyprawa opuściła Barcelonę. „Jakaż nadzwyczajna satysfakcja! Chłopaki z drugiej strony będą mogli skorzystać z opieki dziadka. Jak bardzo mi ich brakuje!” – pisał Isidoro do tych z konsulatu. I dodawał: „Jak bardzo nam jej brakuje! Zostało nas tylko dziewięciu po tej stronie i w większości jesteśmy od siebie odizolowani. Obyśmy mogli żyć jak rodzina!”[176].

Życie w Chacie Świętego Rafała, chociaż umilane promieniami słońca i podmuchami wiatru, pełne było niewygód. Nocą dało się odczuć

przenikliwie zimno, a nie można było palić ognisk. Pomimo starań o zachowanie czystości, nie można było uniknąć wszy, które pozostały im w spadku po poprzednich lokatorach szałasów. Jeśli chodzi o zachowanie higieny osobistej, by się umyć, trzeba było zejść do przejrzystego jeziora, położonego w połowie drogi między chatą a domem Vilaró. Niektórzy, z Ojcem na czele, kąpali się w jego lodowatej wodzie. („Ja się nie odważyłem – wyznał Pedro bez cienia wstydu – okoliczności tej kąpieli przypominały mi los męczenników z Sebasty*”) [177]. A jednak żyli szczęśliwi, bardzo szczęśliwi.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy mogli śpiewać swobodnie. Podczas jednego ze spotkań zaśpiewał Ojciec. Odśpiewał m.in. kolędę, której nauczył się od zakonnicy u Świętej Izabeli. Miała bardzo prosty tekst i melodię wpadającą w ucho [178].

Jedzenie pozostawiało wiele do życzenia. Choć wystarczyło do przeżycia, jednak było go zbyt mało dla młodych ludzi, którzy byli niedożywieni, a których wkrótce czekała ciężka przeprawa przez góry. Jedzenie brali z domu Vilaró lub z Ampurdanés, innego pobliskiego gospodarstwa. Daniem tym była smażona pasztetówka lub kaszanka z mnóstwem kartofli. Na trzeci dzień, gdy jadłospis się nie poprawił, Ojciec powiedział parę mocnych słów „opiekunowi” na temat skąpego wyżywienia i wygórowanych cen, jakie sobie za coś takiego liczyli. Pere się obraził. Na koniec swej przemowy Ojciec łagodniejszymi słowami poprosił go, by się nie złościł. W rezultacie od tej pory polepszyła się zarówno jakość, jak i ilość jedzenia[179].

Natura chroniła ich ze wszystkich stron. Mieszkali dosłownie w środku lasu. Byli tu bezpieczni, nie

obawiając się zaskoczenia ze strony żołnierzy czy milicjantów. W leśnej gęstwinie, pozostając w kontakcie z chłopami z gospodarstwa, uchodźcy mogli się swobodnie poruszać, bez rygorów azylu dyplomatycznego. Mimo wielu niedogodności, bez większych trudności dostosowali się do takiego sposobu życia. Sądząc po tym, co się zdarzyło we wtorek 23 listopada, gdy spotkali księdza Josepa, proboszcza z Peramoli, ludzie z wioski czuli się w górach jak u siebie w domu. Księdza poinformował syn zakrystiana, że nowi lokatorzy zajęli barak. Tego dnia musiało przypadać w wiosce jakieś święto, bo około trzeciej po południu zjawił się w Chacie Świętego Rafała chłopiec, zapraszając ich na kawę do pobliskiego gospodarstwa. Poszli tam wszyscy, z wyjątkiem Ojca i Pedra. U zakrystiana był krawiec i inne osobistości Peramoli. Były śpiewy i mnóstwo radości. Oprócz kawy

dostali po papierosie i szklaneczce czegoś mocniejszego[180].

Ojciec poprosił Pere, by przedstawił go innym ukrywającym się księżom, bo być może mógłby im służyć pomocą. Już wkrótce zaczął przyjmować odwiedziny. W czwartek 25 listopada od samego rana zapanował spory ruch. O piątej nad ranem, gdy było jeszcze zupełnie ciemno, zjawił się w chacie Pere Sala, „opiekun”, z wieściami, że następnego dnia rusza wyprawa z bardzo doświadczonymi przewodnikami i że honorarium, jakiego żądają, wynosi 2 000 peset za osobę. Naturalnie w „dobrych” banknotach. Ojciec, nie zajmując się sprawami pieniędzy, powiedział mu, że już są umówieni z „Mateo mleczarzem” i nie myślą o zmianie wyprawy.

Potem, zaraz po pobudce, do chaty zaszedł ksiądz Joan, administrator z

Pallerols i przez parę chwil rozmawiał na osobności z Ojcem, który o świcie odprawił mszę. Przed południem odwiedził ich ksiądz Josep z Peramola, z którym wszyscy udali się na grzyby. W lesie było mnóstwo maślaków, a także sporo gatunków niejadalnych. Ksiądz Josep nauczył ich, jak odróżniać gatunki jadalne od trujących. Zebrali tak dużo grzybów, że nie byli w stanie wszystkiego zjeść. Smażyli je na patelni z czosnkiem, wspominając z nostalgią menu z „L’Aliga Roja” z ulicy Tallers, ulubionej restauracji Ojca, gdzie ponad połowie potraw towarzyszyły grzyby: pasztetówka z maślakami – 7 peset; *filets rovellons* – 7 peset, potrawka z borowikami – 3 pesety...

Gdy minęło południe, wspiął się do nich „opiekun” z żywnością, którą przywiózł na mule. Tym razem towarzyszył mu ksiądz dziekan z Pons, ukrywający się w

gospodarstwie Vilaró. Kapłan ten i Ojciec spacerowali dłuższą chwilę. Między innymi od niego dowiedzieli się, że wyprawa, o której mówił Pere rano, stanowiła jedynie pretekst, aby zarobić więcej pieniędzy, niż to było umówione.

W piątek, zanim zdążyli wstać, spotkała ich miła niespodzianka. W chacie zjawił się nowy gość, „Mateo mleczarz”, który powiadomił ich, że ekspedycja ruszy w najbliższy poniedziałek. (Mateo był człowiekiem słownym, ale od razu widać było zamieszanie dotyczące terminów i cen, wynikające z nieporozumień między organizatorami). Co dziwniejsze, jeszcze tego samego dnia zjawił się Pere wraz z wielką misą pełną pasztetówki i pieczonych żeberek. Jednak ani Ojciec, ani Pedro nie jedli obiadu w chacie, lecz zeszli do gospodarstwa Vilaró. Pedro miał za zadanie sporządzić rysunki parafii w

Pallerols, podczas gdy Ojciec wraz z dziekanem zbadał wnętrze świątyni, gdzie nie znaleźli nawet najmniejszego śladu po ołtarzach i drewnianych rzeźbach zniszczonych przez rewolucjonistów[181].

Następnego dnia, w sobotę rano otrzymali wiadomość, że wyjście zostało przyspieszone i że wychodzą jeszcze tego samego wieczora. Po obiedzie zrobili nawiedzenie Najświętszego Sakramentu, który Ojciec nosił w metalowej papierošnicy schowanej w kieszeni koszuli, pod swetrem. W miarę jak zapadał wieczór, z różnych stron nadciągali uchodźcy, będący członkami ekspedycji. W końcu zjawił się także Pallarés, jeden z pośredników. Zawiadomił ich, że teraz przewodnicy żądają 2 000 peset od osoby, zamiast

1 200, jak było ustalone. To spowodowało niemałą konsternację.

Nie mieli wystarczającej ilości pieniędzy dla wszystkich. Na szczęście zjawił się także „Mateo mleczarz”. Mateo, poinformowany przez Ojca o ich sytuacji, zaofiarował się porozmawiać z przewodnikami. Wydawało się, że sytuacja jest opanowana, gdy Ojca zdradziła miłość do swoich synów. Pedro, który dzięki rozmowom z ostatnich dni wiedział o słabości Ojca, opowiada nam o tym. W celu rozwiązania konfliktu – jak twierdzi – „przyszła mu [Ojcu] na myśl rzecz dla niego bardzo charakterystyczna, która jego zdaniem miała ułatwić wyjście z sytuacji. On pojedzie bez pieniędzy do Barcelony, tam się zapożyczy i wróci do Madrytu (Madryt, nasi, którzy tam zostali, a zwłaszcza Álvaro stanowią jego obsesję). Ten pomysł – jak można się spodziewać – straszliwie zezłościł Juana, który aż zaczął przeklinać najgorszymi słowami i na boku powiedział Ojcu jakieś straszne rzeczy. W końcu

Ojciec zgodził się i był gotów przystąpić do marszu”[182].

8. Przejście przez Pireneje

Ci, którzy zostawali w ukryciu w lasach Baronii Rialp, pożegnali się z wyruszającą ekspedycją. Ich zdaniem stwarzała ona szansę na wolność, ale za cenę zbyt wysokiego ryzyka. Zdawało im się, że bardziej bezpiecznie będzie pozostać w ukryciu w „barakach”. Jednak nigdy nie wiadomo, jakie wyjście jest lepsze. Brakowało kilku tygodni do końca wojny, gdy został rozstrzelany ksiądz Josep, który powiększył w ostatniej chwili długą listę kapłanów zamordowanych w prowincji Lérida[183]. Okoliczności i Opatrzność wyprowadziły bezpiecznie przez granicę grupę towarzyszącą Ojcu. Zaledwie w kilka dni po ich wyjeździe w Madrycie pocisk uderzył w pokój, który wynajmowali na ulicy Ayala. Gdyby

nastąpiła krótka zwłoka w wyjeździe z Barcelony, znajdowałiby się teraz w więzieniu. (Kierując się doniesieniem, że w pensjonacie przy ulicy Diagonal ukrywają się jacyś ludzie, policja wkroczyła tam i dokonała rewizji. Ptaszki wyfrunęły już z gniazdka, ale donia Rafaela trafiła do „czeki”, którą udało się jej opuścić niemal cudem w miesiąc później)[184].

Była szósta po południu i zmierzchało się, gdy opuścili Chatę Świętego Rafała. Zakrystian z Peramoli otwierał pochód. Za nim szedł Mateo. Inni starali się nie zostawać w tyle. Czoło wyznaczało tempo marszu. Juan, który szedł obok Ojca, zauważył, że od czasu do czasu sam siebie pytał po cichu, czy powinien iść dalej, czy wracać. „Nie widział, co ma dalej robić – wyjaśnia Juan – tak jakby nagle poczuł się opuszczony, tak jakby zabrakło mu pomocy nadprzyrodzonej, tak jakby

to była próba dopuszczona przez Boga, która wymagała od niego straszliwego wysiłku, aby zapanować nad swoim chwilowym zmartwieniem i brnąć dalej wbrew sobie. Prawie spanikowałem, obawiając się, że może podjąć ostateczną decyzję. Bez wahania chwyciłem go za ramię, zdecydowany nie puścić go, gdyby chciał zawrócić i oświadczyłem mu to w słowach naprawdę niestosownych. Wspominam to z przerażeniem, ale było to konieczne, ponieważ wiedziałem, że podjął decyzję, by nie iść dalej i czułem się zmuszony do działania”[185].

Pedro Casciaro pisał w dzienniku, na czym polegało to niestosowne grubiaństwo ze strony Juana: „Ojciec nalegał, by mógł zostać w Peramoli, by wrócić następnie Madrytu. Juan szedł tuż za nim i od czasu do czasu powtarzał mu rzeczy w rodzaju: «Księdza to my zaprowadzimy do

Andorry żywego lub martwego». A Ojciec jako argument przedstawiał to, że czuje się zbyt słabo, by dotrzeć pieszo do granicy”[186].

Dzięki zdarzeniu z różą z Pallerols don Josemaría w głębi duszy uspokoił się. Na pewno nie sprzeciwiał się woli Bożej. Ale z tego powodu jego sercem ojcowskim nie przestały targać gwałtowne pragnienia bycia ze swymi synami tak w jednej, jak i w drugiej strefie. Zdając sobie sprawę z wszystkich przeciwności, dręczył się, czy jednak nie potrzebowali go bardziej ci, których zostawiał w strefie republikańskiej. Wszystko wskazywało na to, że Pan pracował nad istotą jego uczuć ojcowskich. Dzięki temu ksiądz Josemaría zupełnie jasno dostrzegął w serdecznej opryskliwości Juana mocny punkt oparcia, by iść dalej i nie zmarnować całego dotychczasowego wysiłku. (Paco

Botella komentował, że „Juan z jednej strony okazywał Ojcu całkowite oddanie, a jednocześnie nieustępliwe zdecydowanie”)[187]. Juan, będąc świadkiem ostatnich prób, przez które przeszedł Ojciec, był świadom, że jego rola nie polega na przekonywaniu, lecz na działaniu.

Zapadła kompletna ciemność. Przez pół godziny stali beczynn timer na zimnie. Juan zwymiotował kolację. Wrócił przewodnik, niosąc kilka par sznurowanych konopnych łapci dla tych, którzy mieli najgorsze obuwie. (Przemysłowcy woleli, by ludzie, nieprzyzwyczajeni do nocnych marszów, nosili tego rodzaju obuwie, by nie ślizgali się i nie powodowali głośnego osypywania się kamieniami). Ciągłe maszerowali przez gęste lasy, ledwie widocznymi ścieżkami. Juan doznał spektakularnego upadku, ześlizgnąwszy się po zboczu. Trochę przed północą przewodnik doprowadził ich do jednej z jaskiń,

położonej u stóp El Corb. Wejście zasypane było kamieniami i ziemią, pozostawiono tylko wąską szczelinę. Powyżej znajdowała się stroma skała, kończąca się gwałtownie ostrą krawędzią. Członkom ekspedycji natychmiast przypomniała się jaskinia Alibaby i czterdziestu rozbójników. Jaskinia była głęboka, rozgałęziona, przedzielona skalnymi ścianami. W świetle płomienia zobaczyli jej brudne dno, zadymione sklepienie, żłoby i kuchnię. Wszystko wskazywało na to, że szukali tutaj schronienia i ludzie, i zwierzęta.

W środku czekał na nich młody człowiek, liczący sobie lat dwadzieścia kilka, noszący welwetowe ubranie i kierzpce, o wyglądzie oschłym i powściągliwym. Przedstawił się nowo przybyłym, zamiast powitania wypowiadając autorytatywnym i nie znoszącym sprzeciwu tonem kilka zdań: „Tutaj ja rządzę, a reszta ma się słuchać.

Będziemy szli rzędem, jeden za drugim, bez hałasów, i ani słowa. Kiedy będę musiał coś wam powiedzieć, przekażę to pierwszym z szeregu i ci przekażą to dalej. Nikt nie może się odłączyć i zostać po drodze. Jeśli ktoś poczuje się źle, niech zostanie, a jeśli ktoś chce mu towarzyszyć, zostanie wraz z nim”[188]. (Pośrednicy nazywali tego człowieka Antonio. Jak się później okazało, nie było to jego prawdziwe imię).

Odpoczywali jak kto mógł. Dwie godziny przed świtem ruszyli w dalszą drogę, przez prawdziwe urwiska. Przeszli przez wąwóz, a we mgle jeszcze kilka osób przyłączyło się do ich szeregu. Szli wśród gęstych lasów sosnowych i dębowych wzdłuż podnóża góry Sultán de Grameneras, by wraz z pierwszymi promieniami słońca znaleźć się w miejscu zwanym *Espluga de las Vacas*, znajdującym się

w wąwozie Ribalera. Tuż obok kaskadą w przepaść spadał strumień.

Ojciec był gotów odprawić mszę, nie bez obaw, że dojdzie do jakiegoś konfliktu, gdyż podczas nocnego marszu słyszał bluźnierstwa.

Znajdowali się u stóp wysokiego urwiska, które osłaniało ich przed wiatrem i zimnem. W tym momencie zjawił się pewien chłopiec. Nazywał się José Boix, pochodził z Juncás, gospodarstwa znanego organizatorom wyprawy. Przyniósł pożywienie dla wędrowców. José sam z siebie zaczął pomagać w przygotowaniu ołtarza, umieszczając mniej więcej płaski kamień na kilku dopasowanych do siebie kawałkach skały[189].

Była niedziela, 28 listopada. Ojciec oznajmił obecnym, nieco ponad dwudziestu osobom, że ma zamiar odprawić mszę. To wzbudziło zdziwienie jednych i oczekiwanie u

innych. Prawdopodobnie nikt z nich nie słuchał mszy od lipca ubiegłego roku. Ojciec odprawił mszę na kolanach. Paco i Miguel, klęcząc po obu stronach ołtarza, który był bardzo niski, trzymali korporał, aby gwałtowniejszy podmuch wiatru nie porwał hostii. Niektórzy z ich towarzyszy podróży przystąpili do komunii z wielkim nabożeństwem. Między nimi znajdował się też pewien student, który przyłączył się do wyprawy poprzedniej nocy[190].

Dla Joségo Boixa, wówczas niemal dziecka, a w chwili, gdy składał swą relację, człowieka już dojrzałego, dziwne było to, że kapłan zaraz po przybyciu chciał odprawić mszę. Chłopiec wielokrotnie wychodził rankiem na spotkanie innych wypraw uchodźców. Wiedział, że w składzie wielu z nich także znajdowali się księża. „Żaden spośród księży, którzy przez te lata przechodzili przez to miejsce, nie

chciał odprawić mszy” – powiedział. Namaszczenie, z jakim ksiądz odprawiał mszę, musiało poruszyć jego duszę: „Myślę, że byłem świadkiem działań świętego księdza” – dodał[191].

Młody kataloński student, który przyłączył się do nich poprzedniej nocy prowadził dziennik swojej ucieczki. Na jego kartach przywoływał momenty, które najbardziej zapadły mu w pamięć podczas kolejnych dni. Pod datą 28 listopada zapisał, co następuje: „Tutaj miało miejsce najbardziej emocjonujące przeżycie w trakcie całej podróży: Msza Święta. Na skale, na kolanach, niemal leżąc na ziemi, ksiądz, który idzie z nami, odprawia mszę. Nie modli się tak jak inni księża w kościołach [...]. Jego jasne i szczerze słowa zapadają w duszę. Nigdy nie słyszałem Mszy takiej jak dziś. Nie wiem, czy to z powodu

okoliczności, czy też dlatego, że celebrans jest świętym”[192].

Na śniadanie jedli chleb z kiełbasą, wypili odrobinę wina. Po posiłku każdy z nich ułożył się, jak Bóg pozwolił w tym spadzistym miejscu, gdzie nie było nawet piędzi równej ziemi. O trzeciej po południu dostali do jedzenia odrobinę smażonego mięsa z królika. Musiało tego być niewiele, skoro mieli jeszcze czas, by do czwartej zmówić różaniec i zwiedzić otaczającą ich kupę skał. „O tej godzinie – jak pisze dyżurny kronikarz – znowu wyruszyliśmy, słabo odżywieni i niewyspani”[193].

Do tej pory zwykle maszerowali nocą. Jednak kolejny etap, wspinaczka na szczyt Aubens, okazał się szczególnie niebezpieczny właśnie w nocy. Trzeba było osiągnąć szczyt za dnia, dlatego też wyruszyli jeszcze po południu. Do podnóża góry dotarli po niezbyt stromych

zboczach, ale porośniętym gęstymi krzakami. Po godzinie byli już w wąwozie Llasa, w którym trzeba było się wprost wspinać. To było dziecinną igraszką dla przewodnika, który żwawo piął się na skały i bez zawrotu głowy mógł spoglądać w przepaść. Zaczęło się ściemniać, gdy Antonio, przewodnik, zaczął poganiać maruderów. Tomás Alvira opadł z sił i przewrócił się. Nie mógł zrobić nawet kroku więcej.

Przewodnik zimno nakazał dalszy marsz. Trzeba było pozostawić tego człowieka swemu losowi, jeśli chcieli dotrzeć na górę na czas. „Najlepiej by było, żeby zawrócił, inaczej będziemy musieli go zostawić po drodze” – wyjaśnił Antonio. Ojciec wówczas porozmawiał z nim i udało mu się skłonić go do zmiany zdania. Potem zmobilizował Tomása: *Nie przejmuj się. Będziesz szedł z nami jak inni, aż do końca.* („Przez cały czas modliliśmy się do naszych

Aniołów Stróżów” – dodaje Tomás w swojej relacji)[194].

Zapadała noc. Na szczycie, po pokonaniu wszystkich niebezpieczeństw wspinaczki, znaleźli się na równinie porosłej gęstą trawą, która stanowiła prawdziwy wypoczynek dla stóp. Zejście po przeciwległym zboczu prowadziło w terenie podmokłym, wśród lasu sosnowego, wzdłuż ścieżek powstałych po zwózce drewna. Łatwo było się poślizgnąć, a dłonie krwawiły, bowiem, przy każdym upadku, trzeba było chwycać się gałęzi kolczastych krzewów.

Podczas jednej z krótkich przerw na odpoczynek przewodnik nagle zniknął. Wkrótce zjawił się znowu, ale nie powiedział im, gdzie są. Była już późna noc, gdy z zachowaniem wielkich środków ostrożności po trzech albo czterech przeskakiwali przez szosę (prowadzącą do Isony),

aby ponownie spotkać się w pobliżu mostu (na rzece Valldarques). Zaraz potem przechodzili w bród rzekę Sellent, brodząc po kolana w wodzie. Zostało im jeszcze ponad jedna mila* do przebycia i przewodnik zaczął się niepokoić. Ojciec ledwie trzymał się na nogach, ale ująwszy Antonia pod ramię, starał się go uspokoić. Szybko zostawili za sobą po lewej ręce wioskę Montanisell. Zaczęło świtać, gdy wykończeni dobrnęli do ostatniego odcinka tego etapu marszu. Tego właśnie obawiał się przewodnik, bo droga do domu Fenollet, gdzie mieli spędzić dzień, była widoczna z wioski Orgañá, w której stacjonowało kilka jednostek straży[195].

W zimnym świetle brzasku dotarli do Fenollet, wiejskiego gospodarstwa zagubionego na wysokości tysiąca metrów. Było one zasłonięte przez górę i otoczone licznymi zagrodami dla bydła. Jak tylko przybyli, Ojciec

rozdzielił Komunię Świętą między swoich podopiecznych, ponieważ nocą podczas drogi znowu słyszeli bluźnierstwa. Spożyli wszystkie hostie, które mieli ze sobą od czasu mszy odprawionej w Ribalera.

Przewodnik oświadczył im, że zostały trzy dni marszu, bez możliwości zaopatrzenia w żywność. Surowo zabronił im opuszczać zagrodę, w której się znajdowali i gdzieś zniknąć. Znajdowały się tam obory i owczarnie. Uchodźcy, urządziwszy się, jak kto mógł, spali cały ranek wśród głośnego pobekiwania i porykiwania bydła oraz pobrzękiwania dzwonków. Tylko Ojciec, choć na wpół śpiący, zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie byli narażeni, widział bowiem jak rankiem odwiedzili gospodarstwo dwaj milicjanci. Pytali gospodynię, czy nie widziała może jakichś śladów uciekinierów. Kobieta niczym się nie

zdradziła. Wypiwszy po szklaneczce wina, poszli sobie. (Ta wiadomość oczywiście nie pochodzi od kronikarza prowadzącego dziennik, który – jak sam powiada – starał się przez sen wyobrazić sobie miękką wiązkę siana, która teraz wydawała mu się „nierealnym marzeniem”)
[196].

O drugiej po południu, gdy nieco minęło zmęczenie, obudził ich głód. Przewidując taki obrót spraw, ludzie z Fenollet zabili jagnię w przeddzień przybycia ekspedycji. Uciekinierzy umieścili plecaki w żłobach i, siedząc na ziemi, zaczęli jeść. Głównym daniem była fasola z jagnięciną. Było tego tak dużo, i tak smacznie przyrządzone, że ówczesny przewodnik ekspedycji w odbytej po latach rozmowie z Juanem Jiménezem Vargasem wspominał, że „o wielu rzeczach zapomniał, ale tego posiłku nigdy nie zapomni”[197]. (Także kolejny

kronikarz pochwalił danie z fasoli. Tylko Ojciec, przepisując na maszynie dziennik, studził nieco te zapawy i dodawał: *słono sobie za to policzyli*)[198].

Wśród tych gościnnych ludzi ukrywała się pewna zakonnica. Podczas gdy niektórzy zażywali poobiedniej drzemki, kobiety z gospodarstwa cerowały ubrania uciekinierów. A Ojciec, który czuwał, widząc zmęczenie członków swojej grupki, polecił opróżnić znacznie plecaki. W gospodarstwie pozostała znaczna część bagażu, nie dlatego, że nie był już zdatny do użytku, lecz ze względu na nieznośny ciężar, jaki stanowiłby, gdyby przyszło go taszczyć po górskich zboczach[199].

Aby zaspokoić potrzeby żywieniowe, w drodze do Andorry udało im się tylko kupić mały ser i kawał razowego chleba. Napełnili też bukłak winem. Tuż przed

zmierzchem wyruszyli w drogę. Naprzeciw Fenollet wznosiła się góra Santa Fe, w stronę której skierowali się idący gęsiego uczestnicy wyprawy. Ta prowadząca ku Pirenejom droga prowadziła nieustannymi podejściami i zejściami poprzez góry znajdujące się na prawym brzegu rzeki Segre. Jej koryto jest naturalnym szlakiem biegnącym z północy na południe i prowadzi od pierwszych wzniesień Pirenejów aż do Baronii Rialp. Na terenie, który mieli przejść, w odległości 50 – 60 kilometrów od granicy Francji znajdowały się najodpowiedniejsze do ukrycia się miejsca, dlatego przejścia z jednej doliny do drugiej znajdowały się pod szczególną obserwacją milicji granicznej.

Po wyczerpującej wspinaczce, trwającej ponad godzinę, zeszli po północnym zboczu góry Santa Fe. Potem przeszli przez równinę w

okolicach wioski Orgañá. Było to miejsce łatwe do przejścia dla wędrowca, lecz trudne dla uciekiniera, którego obecność natychmiast wyjawiało, niedające się uniknąć szczekanie psów w każdej zagrodzie. Przewodnik aż zbyt dobrze wiedział, że zaalarmowani nieustannym ujadaniem milicjanci kilka tygodni temu ostrzelali i rozpędzili jedną z wypraw.

Przekroczywszy rzekę Cabó rozpoczęli wspinaczkę na górę Ares, w paśmie Prada, mającą wysokość 1 500 metrów. Wejście po nocy w nierównym terenie, na stromiźnie, gdy nie wie się, gdzie można postawić stopę, było prawdziwą próbą wytrzymałości fizycznej. Słyszał było, jak Ojciec, który po wyczerpującej nocy słabo wypoczął w Fenollet, ciężko i nierówno oddycha. Paco i Miguel pomagali mu się wspinać. Czasami niemal frunął w powietrzu wsparty na ich

ramionach, powtarzając sobie cały czas: „*Non veni ministrari, sed ministrare*”[200]. Powyżej się zatrzymali. Wiał zimny wiatr i wszyscy starali się skupić wokół Ojca, któremu Juan odmierzył spory łyk słodzonego wina z bukłaka, aby wróciły mu siły[201]. Wkrótce potem cała ekspedycja mogła się schronić w oborze, znajdującej się niedaleko wioski Ares.

Gdy wznowili marsz, nie wszyscy zregenerowali siły. José María Albareda był jakby oszołomiony. Stracił pamięć, nie wiedział jak się tam znalazł. Po kilku łykach wina, z błąkającym się na ustach uśmiechem pozwalał się prowadzić za rękę niczym automat[202]. Zmęczenie i upór, z jakim usiłowali przeniknąć wzrokiem ciemności, by dojrzeć, gdzie można postawić stopę i dostrzec cień osoby idącej przed nimi, sprawiały, że nagle zaczęli widzieć światła gospodarstw po

górach, jakby cierpieli na nocne urojenia. Gdy zaczęli odmawiać „Ojcze nasz” i „Zdrowaś Mario”, natychmiast tracili rachubę i dziesiątki różańca przeciągały się w nieskończoność, licząc sobie po dwadzieścia i trzydzieści „zdrawasiek”, mieszając się z obsesyjnie wracającą melodią tej kolędy, którą Ojciec śpiewał po drodze: „Jak piękne Dzieciątko/ ma święty Józef./ Jak tylko na Nie spojrzę, / nie wiem, co się ze mną dzieje”. Jej muzyka i rytm, jak powiada Pedro Casciaro, w dziwny sposób „zaczęły tworzyć nieodłączną część naszych ciężkich oddechów”[203].

Nagle, nie wiadomo dlaczego idący z przodu zatrzymali się. Przewodnik zniknął. Zaraz wrócił wraz z jednym z maruderów, który na wpół omdlały przewrócił się, rezygnując z dalszego marszu. Antonio, obawiając się, że uciekinier zastosował ten wybieg, by

ich zadenuncjować, albo że zostanie on odkryty przez patrol straży, zmusił go do ponownego przyłączenia się do reszty grupy, grożąc mu pistoletem.

Obeszli w końcu jakiś wąwóz i, gdy zaczęło świtać, przewodnik zagonił ich wszystkich do obory, zagubionej wśród górskich łąk. Był to *Cortal del Baridá*, położony na wysokości 1 300 metrów. Wychłodzeni przez panujący ziąb, na wpół nieżywi z niewyspania, z minimalną ilością żywności i odrobiną wina, spędzili tutaj ranek 30 listopada 1937[204].

Już ściemniało się, gdy przewodnik wrócił do obory i gdy znowu ruszyli. Wszyscy drżeli na samą myśl o kolejnym wysiłku. Z hal zesli ścieżką aż do potoku Baridá, i dalej w kierunku rzeki Segre. Przedzierając się przez lasy, potykali się o pnie zwalonych drzew, które – podobnie

jak poprzedniej nocy – były
przyczyną upadków i stłuczeń.

(W tym miejscu, przepisując w 1938 roku na maszynie rękopis dziennika przejścia przez Pireneje, Ojciec wzruszył się na myśl o tych dniach, o własnym wyczerpaniu fizycznym i o nocnych upadkach w górach, podczas wchodzenia, jak i podczas zejść. „Idziemy chwytając się jedni drugich – pisze kronikarz – i jest to jedyny sposób marszu”. Do tego Ojciec dodał następujący komentarz: *To zachowanie podsunęła moim duchowym synom delikatność miłości. Unosili mnie do góry, by oszczędzać mi wielu upadków – Juanito, Paco i Miguel – tak samo jak się nosi malca, stawiającego pierwsze kroki, trzymając go za ubranie*)[205].

Już blisko Segre oddalili się od strumienia i ruszyli podnóżem góry Creueta. Potem przeszli przez rzekę Pallerols, zbliżając się do głównej

szosy, prowadzącej do Seo de Urgel. Skrzyżowanie tej drogi z drogą prowadzącą z Noves de Segre był najbardziej niebezpiecznym punktem. Jak się dowiedział Antonio, mieszkańcy okolicznych gospodarstw widzieli stacjonujących tam milicjantów, strzegących tego miejsca dzień i noc. Bardzo ostrożnie przeszli na drugą stronę szosy i po przejściu ponad 5 kilometrów, pozostawiając za sobą po jednej stronie osadę Pla de Stan Tirs, podążyli na północ[206].

Trzeba jeszcze dodać, że podczas zejścia z zagrody Baridá w dolinę, na jednej z łąk, przewodnik udał się do wiejskiej zagrody, by napełnić bukłaki winem i że tam przyłączyła się do nich grupka uciekinierów oraz trzech albo czterech mężczyzn z wielkimi pakunkami na plecach. Sądząc po unoszącym się z ich bagażu lekkim zapachu, stanowiącym znaczący kontrast z ich ubraniem, byli to przemytnicy

wyrobów perfumeryjnych. Ale oprócz swego niegroźnego ładunku nieśli też ze sobą broń.

Był już późny ranek, kiedy porzucili kierunek na Segre, aby skierować się wzdłuż strumienia, który wiódł ich prosto na północ. Droga była straszna. Spędzili kilka godzin w korycie potoku Arabell, idąc na przemian po wodzie lub jej potoku, cały czas nie zdejmując butów. Okazało się wówczas, że buty Ojca nie stanowią najlepszej ochrony. Podczas gdy łapcie po wyjściu z potoku oddawały tę wodę, którą wcześniej nasiąkły, ciężkie buty Ojca, na odwrót, zatrzymywały ją. Noszenie ich przypominało trzymanie nóg w wiadrze z lodowatą wodą. Była to rzecz nie do pozazdroszczenia przy jego reumatyzmie[207]. Minąwszy wioskę Arabell, oddalili się od rzeki, aby resztkę energii strawić na wspinaczkę na szczyt góry, z której w

oddali można było ujrzeć Seo de Urgell. O świcie zatrzymali się pod osłoną kilku głazów, chronieni od wiatru przez gęste krzaki. W pobliżu znajdował się wiejski dom, co jednak nie niepokoiło przewodników.

Wyprawa znacznie wzmocniła się liczebnie poprzedniego dnia, dlatego teraz w cieniu skał odpoczywało już z górą czterdzieści osób.

1 grudnia zaczynał się zimnymi promieniami słońca i zachmurzonym niebem. Żołądki mieli puste, zjedli bowiem tylko trochę ze swoich skromniutkich zapasów. Ciała ich były przemoczone i drżące z zimna. Czekając na sen, który nie chciał nadejść z powodu niewygody, zmęczenia i głodu, spędzili cały dzień, trzęsąc się pod przykryciem z koców. Mieli trzy koce na ośmiu ludzi.

„W tych dniach pełnych trudów, zmęczenia, snu... i głodu bardzo

trudno jest trzymać się naszych norm. Ale jakoś to idzie. Jeśli nie można przeznaczyć na nie odpowiedniej ilości czasu, wszystko robi się krócej, ale się robi”[208]. To możemy przeczytać w dzienniku. Wszyscy wypełniali normy pobożności w drodze, potykając się: modlitwy, różaniec, akty strzeliste, ale robili to jak potrafili najlepiej. A doszedłszy do kolejnego miejsca postoju, zbierali siły na kolejny etap marszu. Ojciec nocą modlił się ze wszystkimi innymi. Za dnia natomiast modlił się za nich wszystkich: maszerujących oraz tych, którzy znajdowali się w obu strefach. Zamiast spać, zapadał tylko w półsen. Gdy któryś z nich się budził, zastawał go nieodmiennie w stanie półprzytomnym. W takim stanie zastał go Juan rankiem, gdy kilku milicjantów pojawiło się w Fenollet. To samo relacjonuje dziennik pisany w obozie w Baridá, we wtorek, 30 listopada: „Ojciec dziś w ogóle nie

spał”. A w środę, 1 grudnia, kronikarz znowu zauważa: „Ojciec nie śpi”[209]. To czuwanie było jego najokrutniejszym wrogiem.

Starał się zwyciężyć sen modlitwą[210]. Trwał uparcie na modlitwie, gdy nachodził go sen. Podczas marszu odmawiał picia osłodzonego wina z bukłaka, który podsuwał mu Juan po to, by się wzmocnił. Wszystko pod pretekstem, że inni potrzebują tego płynu bardziej niż on. Na postojach oddawał swój koc. Gdy przychodził czas dzielenia żywności, starał się, aby więcej dostało się pozostałym[211]. Zadziwiająca, że jego ciało nie odmówiło posłuszeństwa póki nie dotarli do granicy.

Znajdowali się już niemal u bram Andory i to podtrzymywało płomień nadziei przed czekającym ich ostatnim etapem marszu. Wszystko

inne jakby sprzysięgło się przeciw nim. Otepienie ducha i brak sił nie pozwalały im już niemal na nic reagować. Mieli podarte ubrania i całkiem zdarte obuwie. Po południu niebo zasnuło się mgłą. Z nieba zaczęły lecieć nieśmiałe płatki śniegu, kiedy przewodnicy zarządzili wymarsz. Członkowie grupy Ojca skończyli właśnie jeść ostatnie kawałki chleba, to było wszystko, co im jeszcze zostało. Juan rozdzielił między nich ostatnie kostki cukru, jakie miał na wypadek opadnięcia z sił podczas nocy.

Idąc na północ, wspięli się na górę (Cerro el Tolsal), aby następnie zejść do wąwozu Civís (którędy przebiega droga Sant Joan Fumat do Farga de Moles). To zejście po śliskich i osypujących się piargach, wśród drzew i gęstych krzaków, na których zostawały wyrwane kawałki ubrania oraz skóra z pokaleczonych rąk, musiało być okropne. „Nie wiem, jak

wygląda droga do piekła, ale trudno mi sobie wyobrazić, że gorzej niż ta nasza – pisał kronikarz – Upadki z poprzednich dni są fraszką w porównaniu z dzisiejszymi”[212].

To przejście przez wąwóz Civís było bardzo strzeżone i z tego, co mówili przewodnicy, kilka jednostek koszarujących w Argolell patrolowało je przez cały dzień. Przez dwie godziny uchodźcy czekali, nie mogąc się ruszyć, stłoczeni razem na brzegu potoku Civís, wystawieni na przenikające aż do szpiku kości zimno, zanim podjęli na nowo marsz. Około północy ostrożnie przekroczyli rzekę i wdrapali się na górę, która pojawiła się przed nimi. Była tak stroma, że mieli wrażenie, że brakuje im już gruntu pod stopami. O trzeciej nad ranem dotarli na szczyt (przełęcz Cabra Morta) i, schodząc z prowadzącej tam ścieżki przeznaczonej dla kozic, znaleźli się w lesie w okolicy Argolell. Zatrzymali

się na pół godziny ukryci za pniami drzew, ale czas dłużył się im w nieskończoność. Przeszli obok domu, w którym widać było zapalone światło, wówczas rozszczękały się jakieś psy. Potem przeszli przez strumyk Argolell i wspięli się na wzniesienie, które mieli przed sobą. W tym momencie na wieść, że są już w Andorze, ekspedycja się rozwiązała, a jej uczestnicy rozproszyli się w pośpiechu, jaki zapanował w ciągu ostatnich chwil. Przez pewien czas wędrowali, kiedy członkowie grupy Ojca, przewidując nadejście świtu, zatrzymali się, by poczekać aż się rozwidni i zorientować się w końcu, gdzie teraz są. Siedząc na ziemi, zawinięci w koce i oparci jedni o drugich, prosili Aniołów Stróżów, by zjawił się przewodnik. W kilka minut później usłyszeli gwizd, a potem kilka następnych. Szukano ich. Wokół ogniska grzali się już niektórzy spośród uczestników ekspedycji wraz

z przewodnikami i przemytnikami, którzy w najlepszej komitywie zaoferowali im miejsce przy ogniu i poczęstowali ich kiełbasą i chlebem. Przewodnik Antonio powiedział, że naprawdę nazywał się José Cirera[213].

9. W Andorze

Przed wyruszeniem w dalszą drogę obecni tam uchodźcy odmówili razem *Salve Regina**. W oddzielnych grupkach, czując pod stopami równą drogę, udali się do Sant Juliá de Loria. Szli odmawiając różaniec, gdy ich uszu dobiegł wspaniały dźwięk bicia w dzwony, co wprawiło ich w owo niemożliwe do opisania przepełniającej ich uczucie, że odzyskali wolność i pozbyli się powodów do strachu. *Deo gratias! Deo gratias!*** – powtarzał Ojciec tego ranka 2 grudnia 1937 roku[214].

Przy wejściu do wioski zatrzymała ich żandarmeria francuska i spisała

ich jako „uchodźców politycznych”. Na śniadanie zjedli w barze chleb z serem i wypili kawę z mlekiem. Chleb był biały, miękki i jeszcze ciepły. Poprosili, by otworzono im kościół - pierwszy niesprofanowany kościół, jaki widzieli od 1936 i odprawili Nawiedzenie Najświętszego Sakramentu. (Don Josemaría nie mógł odprawić Mszy Świętej z powodu obowiązujących wówczas zasad dotyczących postu eucharystycznego)[215].

Późnym rankiem zameldowali się w „Hotel Palacín” w Les Escaldes, o krok od stolicy księstwa Andorra la Vieja. Po południu wszyscy razem udali się do Andorry, by wysłać telegram do brata José Maríi Albaredy, który mieszkał w San Juan de Luz, a także by zająć się szczepieniami ochronnymi i zrobić sobie zdjęcia, których wymagali od nich żandarmi do wydania dokumentów zezwalających na

dalszą podróż. Nagle serce don Josemaríi aż podeszło ze wzruszenia, gdy ujrzał po środku ulicy sutannę. Ksiądz Luis Pujol, który nadchodził z naprzeciwka, zobaczył ze swej strony sporą grupkę mężczyzn, bardzo źle ubranych i w podartych butach. „Od grupy – wspomina – oderwał się jakiś człowiek, który z otwartymi ramionami powitał mnie: «Bogu niech będą dzięki, że widzimy księdza!»”[216]. Ten uścisk stał się początkiem trwałej przyjaźni między księdzem Luisem Pujolem i don Josemaríą, który to spotkanie wykorzystał, by się dowiedzieć, gdzie mógłby następnego dnia odprawić Mszę Świętą.

Wysławszy telegram i załatwiwszy pozostałe sprawy, założyciel Opus Dei napisał kartkę do Konsula Hondurasu, Pedra de Matheu Salazara, co było równoznaczne z poinformowaniem wszystkich swoich bliskich w Madrycie:

Escaldes (Andora) – 2 grud. 937

Mój Najdroższy Przyjacielu, zanim wrócę nad Ocean Spokojny, gdzie zobaczę się z José Luisem, chciałem odwiedzić to sympatyczne Księstwo Andory, gdyż z powodu sytuacji panującej w Hiszpanii nie ośmielę się przyjechać do Madrytu. Jutro wyjeżdżam wraz z moim bratem Ricardo i resztą rodziny do San Juan de Luz. Proszę się pokłonić ode mnie do stóp Mili i Consuelito.*

Ściskam Pana,

Josemaría[217].

Potem wrócili do hotelu. Zjedli kolację i położyli się do łóżek, pełni mocnych postanowień, że przed snem jednak odmówią jeszcze różaniec, jak im zapowiedział Ojciec, zdając sobie sprawę, że zaraz zasną. („Myślę – pisał kronikarz – że nikt nawet nie zaczął odmawiać różańca.

Zadziwiająco, że przed zaśnięciem zdążyliśmy jeszcze zdjąć buty”)[218].

Ojciec rano odprawił mszę w kościele w Les Escaldes, nie „ukradkiem i w tajemnicy”, jak to robił w Madrycie i Barcelonie, lecz z całą oprawą, jakiej wymagała liturgia. Była to msza, w trakcie której memento* były długie i niezapomniane. Bez przerwy celebransowi przychodziły na myśl, rytmicznie niczym fala uderzająca o skały, wspomnienia tych, których zostawił za sobą. Zanim podszedł do ołtarza, prosił, by polecić ich Bogu, a podczas mszy – zarówno podczas wspomnienia zmarłych, jak i żywych – zostawił długie przerwy. (Wśród żywych wymienił także biskupa administratora apostolskiego Vitorii, który obchodził właśnie imieniny – święto Franciszka Ksawerego – i do którego wysłał telegram z życzeniami)[219].

Nadszedł oczekiwany telegram z San Juan de Luz, wysłany poprzedniego wieczora i podpisany przez Pilar, markizę Embid i szwagierkę José Maríi Albaredy. Było w nim napisane: „Jacques Not przyjedzie jutro, aby was odebrać”. Przez całe popołudnie niecierpliwie oczekiwali samochodu, który się nie zjawił. Natomiast zjawił się José Cirera, przewodnik, który nie mógł wrócić do Hiszpanii. Okazało się, że wystarczyłyby dwadzieścia cztery godziny zwłoki, a wyprawa zakończyłaby się niepowodzeniem. Silne opady śniegu zasypały górskie szlaki. Jeśli chodzi o przejścia podczas ostatniego nocnego marszu, przewodnik opowiedział im teraz o grożącym wówczas niebezpieczeństwie. Musieli zmienić trasę, ponieważ na jednym z brodów, które mieli przebyć, czekali już na nich karabinierzy.

Tego dnia Ojciec napisał do Isidora, zachowując ostrożność ze względu na cenzurę:

Escaldes (Andora) – 3 grudnia 1937

Mój Drogi Przyjacielu, jestem trochę na Ciebie zły, bo nie odpowiedziałeś na dwa ostatnie listy, jakie do Ciebie napisałem. W październiku – z Pragi i w połowie listopada – z Paryża.

Teraz korzystam z okazji, będąc na sportowej wyprawie wraz z przyjaciółmi w Księstwie Andory. Wysyłam do Ciebie te kilka zdań i proszę, żebyś napisał do mnie do domu mego kuzyna. Gdybyś nie pamiętał adresu: „Pan Alvérez. Hotel Alexandre. San Juan de Luz (Francja)”. Wystarczy, że prześlesz list na moje nazwisko, a on prześle mi go tam, gdzie będę. Bardzo przecież lubię podróże!

Moja rodzina jest w bardzo dobrym zdrowiu i humorze.

Serdeczne pozdrowienia dla Twoich braci. A także dla babci i wujków.

Ściskam Cię,

Mariano.

Dziś lub jutro wyjadę do domu mego kuzyna (do San Juan de Luz), ponieważ przyśle po mnie samochód. Uściski[220].

Wypadki tych dni zostały szczegółowo opisane w dzienniku: „4 grudnia 1937 (sobota). Była siódma rano i padał śnieg, kiedy wstaliśmy tego dnia. Pejzaż, który nas otacza, pokryty śniegiem, odkrywa przed nami nowy aspekt swego piękna. Te dalekie szczyty pokryte bielą mają wygląd bardziej elegancki, mniej rustykalny”[221].

Z hotelu do kościoła w Andorze, w którym Ojciec odprawił Mszę Świętą dla swojej grupy, był jakiś kilometr. Uczestniczyło w niej także pięciu

młodych ludzi spośród uczestników ich wyprawy. Ojciec zaprzyjaźnił się z księdzem Luisem, który zaprosił go na śniadanie, a potem zabrał go do benedyktynów z Montserrat, którzy mieszkali w Colegio Meritxel.

Śnieg nie przestawał padać. Widać było, że ich wyprawa tylko cudem zdążyła przed tą śnieżycą. Wszyscy mówili o tym, że przejście graniczne w En Valira jest zamknięte i nie można się dostać do Francji. To stanowiło poważną przeszkodę. Być może samochód czekał na nich po drugiej stronie granicy.

Poświęcili popołudnie na pisanie listów i kartek pocztowych po hiszpańsku, francusku i angielsku. Pisali do krewnych, przyjaciół i znajomych, aby dać im znać (z zachowaniem właściwej dyskrecji, jeśli znajdowali się w strefie republikańskiej), że oni już się z czerwonej strefy wydostali. Kartka

pocztowa, jaką Tomás Alvira i Ojciec wysłali do ich przyjaciela Pascuala Galbe Loshuertos, prokuratora *Generalitat*, była bardzo krótka i nie stanowiła dla niego zagrożenia: „Uściski”, podpisano: „Josemaría – Tomás”[222].

Korzystali z okazji, by uzupełnić dziennik przejścia przez Pireneje. Każdego dnia na zmianę jeden z nich miał za zadanie opisać to, co się działo i ten zwyczaj nadal zachowywali. Podczas nocnych marszów byli w stanie tylko sporządzać króciusieńkie notatki na temat swoich przeżyć, teraz jednak wspólnym wysiłkiem mieli okazję je rozszerzyć i uzupełnić[223].

Na skutek marszu po nierównym terenie w podartych łapciach Manolo miał poranione stopy i nie mógł chodzić. Aby przemieścić się z Andory do Les Escaldes, które znajdowało się przecież tuż obok,

musiał jechać samochodem. Juan kilkakrotnie nacierał salicylanem obolałe i spuchnięte ręce Ojca, myśląc, że to reumatyzm. Po dwu dniach, gdy obrzęk się zwiększył, Juan zauważył, że ręce są poranione przez kolce krzaków, których Ojciec się chwycił, ślizgając się lub wdrapując po górskich zboczach. Z niezmierną cierpliwością usunął więc mu ponad trzydzieści kawałków cierni[224].

Minęło w ten sposób pięć dni. Wielokrotnie ożywały ich nadzieje i spotykał ich zawód. Samochód wysłany przez brata José Marií Albaredy nie przyjeżdżał. Cały czas padało. 6 grudnia wstał wspaniały dzień. W południe, gdy zeszli do jadalni, pewien pan powiadomił ich, że następnego dnia wieczorem wszyscy uchodźcy będą mogli wyjechać autobusem, oni także. W porze kolacji zjawił się ponownie, by powiedzieć, że z powodu wielkiej

ilości śniegu na przejściu granicznym nie będzie można przez nie przejechać przez najbliższe dwa – trzy dni. 7 grudnia śnieg przestał padać i zaczął mżyć deszcz. Pewien wieśniak, któremu udało się przejść przez przejście graniczne, przywiózł im listy z Hospitalet, francuskiej wioski, gdzie czekał na nich samochód. W ten sposób wyjaśniło się nieporozumienie[225]. To nie samochód z San Juan de Luz, ale taksówka z Hospitalet miała ich odebrać. Ponieważ jednak taksówkarz spóźnił się z wyjazdem, następnego dnia okazało się, że śnieg zablokował przejazd na przejściu granicznym.

Jeśli człowiek niosący listy mógł przebrnąć przez przejście graniczne, dlaczego oni nie mieliby przekroczyć go w przeciwną stronę? Myśleli także o wynajęciu pojazdu gąsiennicowego, ale ten ze schroniska górskiego nie działał.

Pytali żandarmów, którzy powtórzyli im, że przejście nie jest możliwe. Myśleli, że być może można będzie skorzystać z pomocy wojska. W „Hotel Palacín” stacjonował bowiem pułkownik Boulard i oficerowie francuscy, wyznaczeni przez Republikę Francuską do obrony Księstwa przed możliwymi przekroczeniami granicy przez oddziały milicji. *Monsieur le Colonel** z sympatią patrzył na uchodźców politycznych, z którymi na codzien stykał się na jadalni. Poza tym był to człowiek bardzo życzliwy. Miał dwa metry wzrostu i nieco tylko mniej w pasie. Pułkownik, człowiek o manierach grzecznych i eleganckich, poradził im, by w tych warunkach nie starali się przekraczać granicy francuskiej. Od tej chwili zwrócone w ich kierunku życzliwe pozdrowienia wojskowego w jadalni miały z ich strony dość słaby odzew[226].

Jak zauważył kronikarz, tracili czas i tylko Bóg wiedział, dlaczego przejście było wciąż nieprzejezdne. „Po tym, jak cały dzień próbowaliśmy coś zdziałać (Ojciec powiada, że daliśmy przykład złego wychowania), mogliśmy być spokojni. Już możemy wytrwale czekać na otwarcie przejścia, ale oby to nastąpiło jak najszybciej!

Zebrani w jadalni przy piecu, wspominamy naszych, którzy przechodzą przez swoją Kalwarię w czerwonej strefie. Ojciec za każdym razem, gdy sobie o tym przypomni, bardzo smutnieje. Trzeba wierzyć, że to przymusowe oczekiwanie jest potrzebne, skoro Bóg nam je zgotował”[227].

W ciągu tych dni Ojciec odprawił mszę w różnych miejscach: w kaplicy Colegio Meritxel, w parafii w Les Escaldes, a w klasztorze Świętej Rodziny – w święto Niepokalanego

Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, 8 grudnia, w dniu, w którym siostry odnawiały swoje śluby. Kaplica była tu skromna, a uroczystość zorganizowana z prostotą.

Pokrywa śnieżna, przykrywająca górskie szczyty, domy i ulice, przedłużyła przymusowy pobyt Ojca w Andorze, skąd wyjeżdżał mając w pamięci miłe rozmowy w domu księdza Pujola. W miesiąc później, w swoich *Zapiskach wewnętrznych*, będąc już w Pampelunie, bardzo wychwalał te wieczory: *Kiedy idę wzdłuż rzeki, wspominam nasze wędrówki w Andorze, ze stolicy do Escaldes, w taki wieczór jak dziś, po spotkaniu z miłym księdzem dziekanem*[228].

Ksiądz Luis Pujol, dziekan Andorra La Vieja, szybko zaprzyjaźnił się z don Josemarią. Pierwszego dnia, gdy ten odprawiał mszę w stolicy, miejscowości podówczas liczącej

niewiele ponad tysiąc mieszkańców, zaprosił nowo przybyłego księdza do domu. Ksiądz Luis mieszkał w wygodnym domku na rynku. Miał tutaj swój gabinet, niewielki, porządnie umeblowany pokój, ze stołem do pracy, szafami na książki i półkami oraz fotelem i trzema lub czterema krzesłami. Na ścianach wisiały obrazy o tematyce religijnej, przedstawiające sceny z żywotów świętego Ignacego oraz świętego Franciszka Ksawerego, a także krucyfiks. Na biurku znajdował się zawsze cały plik listów do przesłania z jednej do drugiej strefy Hiszpanii. Jego rolą, którą dobrowolnie wziął na swe barki, polegała na tym, by je otworzyć, zmienić kopertę i przylepić nowy znaczek. W niektórych przypadkach trzeba było nawiązać korespondencję z osobami trzecimi. Ale na skutek śnieżycy praca ta została chwilowo przymusowo przerwana[229].

„Dziś – zapisywał Pedro w dzienniku 5 grudnia – Dziekan nie przyjął nas w tym pokoiku. Po przejściu jednej, dość obszernej sali o wyglądzie jadalni wprowadził nas do kuchni. Zostać przyjętym w kuchni, w ciepłe kominka, ma w Andorze, w domu tego księdza, to samo znaczenie, jak nocować w pałacu królewskim albo nakryć głowę w obliczu króla”[230].

Za gościnność księdza Luisa byli bardzo wdzięczni, bo z filiżanką kawy w ręku i kieliszkiem likieru anyżkowego, podanego uprzejmie przez gospodynię, wprowadził ich w bieg ostatnich wypadków na świecie, ze szczególnym uwzględnieniem Księstwa Andory. Wydarzyło się tam wiele: przybył *monsieur le Colonel* z wojskiem, a także miała miejsce rebelia mieszkańców, którzy z poduszczenia hiszpańskiego ministra edukacji publicznej, Fernanda de los Ríos odmówili hołdu lennego biskupowi Urgel[231]. (Składał się on

z tradycyjnego *present** dla biskupa, złożonego z kilku kapłonów, kilku szynek i dwunastu owczych serów oraz 1 500 peset).

Zaproszenie księdza zostało powtórzone także następnego dnia. Rozmawiając, spędzili miło cały wieczór. W czasie drogi powrotnej do hotelu, która wiodła brzegiem rzeki Valira, płynącej wśród zasp śnieżnych, wiał tak zimny wiatr, że aż zapierał dech w piersiach.

W święto Niepokalanego Poczęcia dziekan zaprosił don Josemarię na obiad. Rozmowa między nimi dwoma, prowadzona w cztery oczy, bez wątpienia bardzo osobisty charakter. Ksiądz Pujol pytał o przejście przez Pireneje. Do Andory docierało mnóstwo uchodźców, każdy z własną historią i własnym ciężarem nieszczęść. Bardziej niż wszystkie opowieści zdumiało go jednak milczące zamyślenie don

Josemaríi: „Najbardziej zrobiło na mnie wrażenie to – wspomina dziekan – co usłyszałem od niego na temat jego doświadczeń z gór: «Cierpiałem tak bardzo, że postanowiłem nie mówić o tym». I tak się stało, ponieważ ani wówczas, ani później nie usłyszałem od niego ani słowa o przebytej gehennie”[232].

(Nie próbując szukać ani domyślać się nowych prób lub cierpień, warto zaznaczyć to, co wyrwało mu się mimochodem. 2 stycznia 1938 w Pampelunie notował w nowym zeszycie swych *Zapisek wewnętrznych*: *Jeszcze czuję ból w stopach, chociaż już prawie nie są spuchnięte: nie były bowiem odmrożone, tylko czują skutki długich dni ucieczki. A don Josemaría nie roztkliwiał się przecież nad odczuwanym przez siebie bólem*) [233].

Wieczorem Ojciec opowiedział, jakim to menu podjął go dziekan: różne przystawki, makaron cannelloni, łeb byka, steki wołowe, ciasta...

Kronikarz, pełen podziwu, uznał za stosowne zapisać to w dzienniku. Ale nie wspominał o apetycie zaproszonego gościa. Po tak długim okresie głodu i to tak ciężkiego, don Josemaría miał bardzo zmniejszoną zdolność przyswajania pokarmów, do tego stopnia, że nie czuł już głodu[234].

Nie wiemy, w jaki sposób, ale nadeszła wieść, że 10 grudnia przejście zostanie otwarte i że rano o wpół do ósmej autobus wyruszy w jego stronę. Wstali o szóstej, wysłuchali mszy odprawionej przez Ojca w parafii Escaldes i mieli jeszcze czas, by zjeść śniadanie i przygotować się do drogi. Przeżyli kilka bardzo nerwowych chwil, trzeba było bowiem uregulować rachunek za hotel: osiem osób przez

osiem dni, po 20 franków za dobę, plus 10 procent. W sumie 1408 franków. Musieli się targować, ponieważ pieniędzy już było bardzo mało, a trzeba było liczyć się z wydatkami związanymi z wyjazdem do Hiszpanii. Musieli do tego stopnia oszczędzać, że nawet butów nie mogli kupić w Andorze. Po wielu prośbach i zniżkach stanęło na rachunku w wysokości 1 300 franków, ku obopólnemu zadowoleniu właściciela hotelu i gości. Podczas gdy trwały pertraktacje, podróżni nałożyli na siebie całą odzież, jaką mieli. By ochronić stopy przed zimnem, owinęli je gazetami, włożonymi między skarpetki[235].

Dzień był słoneczny. O ósmej ruszyła ciężarówka z dwudziestoma pięcioma osobami, usadzonymi na zaimprovizowanych ławkach. Znowu spotkało się wielu uczestników wyprawy prowadzonej

przez José Cirerę. Gdy przejeżdżali przez gospodarstwo Encamp, silnik aż zakrztusił się z wysiłku i trzeba było wysiąść z ciężarówki. Wkrótce dotarli do miejscowości Soldeu, gdzie pojazd odmówił już całkiem posłuszeństwa. Pozostało jeszcze 14 kilometrów do Pas de la Casa, miejscowości położonej na granicy. Początkowo marsz po śniegu, niezbyt głębokim i skrzypiącym, nie był trudny. Potem stopniowo zapadali się aż po kolana, a woda z topniejącego śniegu, który wpadał do butów przesiąkała gazety chroniące stopy. W ten sposób brodzili w wypełniającej ich buty rozmięklej, zimnej i obrzydliwej masie. W Pas de la Casa na hiszpańskich uciekinierów czekał czternastoosobowy ciasny autobus. Brygada francuska odśnieżała szosę od przejścia granicznego aż do Hospitalet, gdzie znajdował się punkt kontroli celnej. Pokazali swoje dokumenty i uzyskali zezwolenie na poruszanie się po

Francji, choć tylko na 24 godziny. Mimo wszystko Ojciec był zdecydowany zatrzymać się w Lourdes, zanim dojadą de Hendaya[236].

Spotkali się z taksówkarzem zamówionym przez brata José Marií Albaredy. Miał on starego citroëna, wielkiego, lecz niewystarczającego dla ośmiu osób. Powolność policji granicznej w wydawaniu stosownych dokumentów i widoczne niezadowolenie szofera tylko opóźniły wyjazd. Zapadał już zmierzch i snuła się mgła, gdy wyjeżdżali z Hospitalet. Drżąc z zimna, mimo podbicia płaszczy gazetami i stłoczenia w samochodzie, próbowali na próżno rozerwać Ojca. On natomiast, gdy przejeżdżali przez Tarascón, uraczył ich zabawnym komentarzem, wspominając sympatyczną postać z Daudeta, Tartarina*, dzielnego łowcę lwów[237].

Noc spędzili w „Hotel Central” w St. Gaudens, a następnego ranka, 11 grudnia, ponownie załadowali się do Citroëna. Wczesnym rankiem dotarli do Lourdes. Wszystko było jeszcze zamknięte, z wyjątkiem krypty bazyliki. Ksiądz, który przyjął don Josemarię w zakrystii i porozumiewał się z nim po łacinie, okazał swoją dezaprobatę, widząc stan jego ubrania. Ojciec poprosił Pedra, by mu służył do mszy, miał bowiem zamiar odprawić ją w intencji jego ojca, znajdującego się w trudnej sytuacji politycznej i pozbawionego możliwości korzystania z praktyk religijnych. Pedro uczestniczył w tej mszy, bardzo przejęty, jak sam wspomina: „To wrażenie, które wywołała u mnie manifestacja zapachu kapłańskiego i miłości do mojej rodziny ze strony naszego założyciela, na zawsze zapadło w mojej duszy i sprawiło, że inne wrażenia z tej pierwszej mszy w

Lourdes zupełnie zatarły się w mojej pamięci”[238].

Ojciec odprawił mszę przy drugim bocznym ołtarzu po prawej stronie nawy, w pobliżu wejścia do krypty. Potem zatrzymali się, by spokojnie zjeść śniadanie w barze, jakby się im nie spieszyło. Odmówili jedną część różańca w grocie. Te odwiedziny w Lourdes były dziękczynieniem za łaski zesłane dla wielkiej rodziny Dzieła, dla jej członków i osób z nią zjednoczonych. „Ojciec wspomniał wszystkich, którzy pozostali w czerwonej strefie, każdego z nich z osobna, i myślał o wszystkich, których będziemy musieli odnaleźć, kiedy dotrzemy na drugą stronę” – opowiada Juan Jiménez Vargas[239].

Do San Juan de Luz dotarli o szóstej wieczorem. José María Albareda został u swego brata. Pozostali już w nocy przeszli przez graniczny most w Fuenterrabía.

[1] Na ten temat oraz na temat szczegółów tej sprawy por.: Juan Jiménez Vargas RHF, T-04152-III, s. 154 i n. Do tego momentu nosił niebieski kombinezon Chuiquiego, w którym wyszedł z rezydencji przy Ferraz 20 lipca 1936, por.: list do Maríi Dolores Fisac Serny, w: EF-370813-1.

Don Josemaría miał przy sobie także kilka legitymacji na nazwisko: „José Escribá Albás – Intendent konsulatu Hondurasu – Madryt”.

[2] W strefie republikańskiej została znowu zorganizowana regularna armia, w której służyli zarówno ochotnicy, jak i poborowi. Rząd republikański, w którym z każdym dniem rosły wpływy komunistyczne, starał się doprowadzić do militaryzacji milicji i stworzenia regularnej armii, zwanej Armią

Ludową, która byłaby podporządkowana Ministerstwu Wojny. Komuniści przejęli kontrolę nad nowo tworzoną armią, przede wszystkim obejmując stanowiska w Komisariacie Generalnym Wojny, który sprawował kontrolę społeczno-polityczną nad siłami zbrojnymi, za pośrednictwem komisarzy politycznych, nazywanych oficjalnie komisarzami delegowanymi. Na temat armii republikańskiej por.: Ramón Salas Larrazábal, *Historia del Ejército Popular de la República*, t. I i III, Madrid 1973. Por. Także: Michael Alpert, *El Ejército Republicano en la Guerra Civil*, Madrid 1986, zwłaszcza rozdział 5, pt.: «Los militares profesionales del ejército republicano», s. 93 i n., oraz rozdział 8, «Los comunistas», s. 219 i n.; Rafael Casas de la Vega, «Ejército Nacional y Ejército Popular de la República», w: Miguel Alonso Baquer (red.), op. cit., s. 183-231; Burnet

Bolloten, op. cit., s. 247-259 oraz 439-443 i n.

[3] Okno pokoju wychodziło na ulicę. Nie było w nim łóżka, tylko materace na podłodze. Mieszkanie było małe, jak wynika z treści pokwitowania opłat za wrzesień: „Przyjąłem od d. José Escriby sumę 60 peset, jako należność za bieżący miesiąc za wynajmowanie mieszkania na moim piętrze pod numerem 4 po lewej stronie, w domu na ulicy Ayala 67. Madryt 13 września 1937. 70 peset. Juan Zafra”. Natomiast pokwitowanie za październik mówi wyraźnie, że chodzi o „jeden pokój pod numerem 4 po lewej stronie, ul. Ayala 67”. Por.: RHF, D-05201.

[4] Chodziło o niewielką reprodukcję „l'Addolorata” G.B. Salviego, zwanego Sassoferato, XVII-wiecznego malarza włoskiego. Kiedy don Josemaría opuścił Madryt, ten wizerunek został u jego brata –

Santiago. Por. Álvaro del Portillo, *Sum.* 889; Joaquín Alonso Pacheco, *Sum.* 4636.

[5] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 118 i 121-123. W dokumencie, jaki posiadał Juan Jiménez Vargas, wystawionym przez Poselstwo Panamy w Hiszpanii, stwierdzano, że: „D. Ricardo Escribá Albás jest agentem handlowym w Sekcji Zaopatrzenia tegoż Poselstwa”.

[6] Por. list do jego synów w Walencji, w: EF-370905-1. W całej korespondencji pisanej podczas pobytu w konsulacie Hondurasu, podobnie w korespondencji z Isidorem, uderzające są szczegółowość, porządek i punktualność w prowadzeniu rachunków dotyczących Dzieła. Np. w liście skierowanym do synów w Madrycie, w: EF-370725-5, zwracając się do Isidoro Zorzano, don

Josemaría pisze: *Dzisiaj przysłałeś jedną pesetę mniej: 55.*

Ten porządek w rachunkach był spowodowany chęcią, by dobrze przeżywać swoje ubóstwo. Musieli zмагаć się z głodem i sprostać wydatkom koniecznym w przypadku możliwego wyjazdu zagranicznego, które bez wątpienia były spore. We wszystkich tych przypadkach założyciel Opus Dei wskazywał im praktyczną zasadę, której mogli się trzymać: *Dostosowujemy wydatki do bieżącej sytuacji. Na wojnie jak to na wojnie* (List do jego synów w Madrycie, w: EF-370704-1).

Jednak nie był skąpy. Jak pisał w kilka dni później do swoich synów w Madrycie: *Wydawajcie, ile potrzebujecie, dla zaspokojenia Waszych własnych potrzeb, bez żadnych skrupułów* (List do jego synów w Madrycie, w: EF-370710-1).

Ostatecznie, ten porządek w wydatkach pozwalał wyznaczyć granicę kosztów, które każdy z nich musiał wziąć na siebie, a zwłaszcza wyznaczyć koszty utrzymania członków Dzieła i rodziny Escrivów, zgodnie z zasadami sprawiedliwości: *Zróbcie mi tę grzeczność – pisał im wtedy – i wyślijcie mi bilans naszej sytuacji ekonomicznej, jak najbardziej szczegółowy. Biorąc pod uwagę, że wszystkie wydatki na małego, co jest naturalne, powinna wziąć na siebie moja Matka, tak by ani groszem nie obciążać Dzieła. Dopóki trwa taka sytuacja trzeba też koniecznie spisywać comiesięczne wydatki. Dajcie ten list do przeczytania cioci Carmen* (List do Isodora Zorzano, w: EF-370630-1).

[7] Listowi temu, jak niemal wszystkiemu, co jest związane z hiszpańską wojną domową, towarzyszyła gorąca polemika. Por.

Gonzalo Redondo, *Historia de la...*, t. II, s. 343-353.

[8] Por. Vicente Cárcel Ortí, *La Gran Persecución. España 1931-1939*, Madrid 2000, s. 126-146.

* Juan Negrín López (1889-1956) – socjalista hiszpański, minister finansów rządu republikańskiego w latach 1935-1937, premier – w latach 1937-1939, zwolennik ścisłej współpracy ze Stalinem i ZSRS. Od 1939 do 1945 premier republikańskiego rządu emigracyjnego –przyp. tłum.

[9] Rewolucja w lipcu 1936 roku zepchnęła Kościół do katakumb. Jedynym wyjątkiem na terytorium republikańskim stanowił Kraj Basków, w którym dzięki jego autonomii oraz temu, że ogromna większość ludności była praktykującymi katolikami, utrzymały się praktyki religijne i nigdy nie zostało przerwane

publiczne sprawowanie kultu w kościołach (na temat tej sytuacji por.: Fernando de Meer-Lecha-Marzo, *El Partido Nacionalista Vasco....*).

9 stycznia 1937 roku baskijski minister Irujo przedstawił na forum Rady Ministrów Republiki memorandum datowane 7 stycznia, aby przekonać swych kolegów z rządu, jak wielkie koszty dla sprawy republikańskiej stanowić będą prześladowania religijne. Zdania, które rozpoczynają ten dokument, wystarczą, by określić zakres przemocy i odpowiedzialność rządów republikańskich: «Opinia cywilizowanego świata obserwuje ze zdumieniem, które prowadzi do odrzucenia, zachowanie rządu Republiki, który nie zabronił ewidentnych aktów przemocy i który pozwala, by trwały one w formie i zakresie poniżej opisanych. Fala rewolucyjna mogła być łagodnie oceniana jako ślepa siła, niszcząca

wszystko w niekontrolowany sposób, ale tylko w pierwszych momentach. Systematyczne niszczenie świątyń, ołtarzy i obiektów kultu już nie ma charakteru niekontrolowanego» (por. Vicente Cárceles Ortí, *La persecución religiosa...*, s. 286-287).

Rząd Largo Caballero [Francisco Largo Caballero (1869-1946) – socjalista hiszpański, premier rządu republikańskiego w latach 1936-37, odpowiedzialny za krwawe prześladowania po stronie republikańskiej – przyp. tłum.] odrzucił propozycje pozwalające na wolność religijną, przygotowane przez Irujo. Potem na Radzie Ministrów, już za rządu Negrína, 31 lipca 1937 r., Irujo ponownie przedstawił projekt dekretu, który ponownie został odrzucony.

Jedynym, co w tym zakresie osiągnął Irujo, kiedy Negrín ogłosił deklarację

programową, opublikowaną 30 kwietnia 1938 r., była zawarta w niej aluzja do tego, że rząd ma wolę respektowania wolności sumienia i zagwarantowania swobody wierzeń i sprawowania praktyk religijnych. Była to deklaracja intencji, która niestety miała mało wspólnego z praktyką. Irujo złożył dymisję, z innych przyczyn, w sierpniu tegoż roku. Por. Burnet Bolloten, op. cit., s. 784-785, 951-952 oraz 918. Por. także: Manuel de Irujo, *Memorias I y II. Un vasco en el Ministerio de Justicia*, Buenos Aires 1976 oraz 1978; A. De Lizarra [Andrés maría de Irujo], *Los vascos y la República Española. Contribución a la Historia de la Guerra Civil. 1936-193.*, Buenos Aires 1944, s. 155-159 oraz 172-197.

[10] Co najwyżej ograniczono się do prób przywrócenia kultu katolickiego w miejscach, gdzie znaczenie komunistów było mniejsze, jak choćby w *Generalitat*

Catalana [(kat.) nazwa regionalnego rządu Katalonii – przyp. tłum.], która to próba nie pociągnęła za sobą żadnych innych skutków. Por. Josep Maria Solé i Sabaté, *Las represiones*, w: Stanley G. Payne i Javier Tusell (red.), op. cit., s. 595 oraz Burnet Bolloten, op. cit., passim.

[11] Jeśli chodzi o zmianę rytmu prześladowań, Javier Cervera wskazuje, że podczas gdy księża stanowili najliczniejszą grupę (18,11%) zabitych podczas tzw. spacerów, to księża, którzy stanęli przed Trybunałami Ludowymi w Madrycie podczas wojny stanowili 1% wszystkich sądzonych (12 do 13 tysięcy) (op. cit., s. 76 i 155). Udowodnił on, że «spośród księży sądzonych przed Trybunałami Ludowymi nieco ponad 25% zostało uznanych za wrogów ustroju» (op. cit., s. 155), pozostali zaś zostali uwolnieni od zarzutów. Wskazuje także, że «praktyki religijne (...) były

uznawane za oznakę wrogości względem Republiki» (ibidem, s. 191), a samo posiadanie ksiązek religijnych za przesłankę wrogości, która prowadziła do aresztowania (ibidem, s. 179-180). Co się tyczy podziemnego sprawowania posługi kapłańskiej, można zajrzeć do rozdziału pt.: «Madryt, kościół katakumb», u José Luisa Alfayi Camacho, op. cit., s. 119-193.

Widomym dowodem na niebezpieczeństwa i ryzyko, jakie wiązało się z prowadzeniem praktyk religijnych było zakłopotanie, jakim reagowali ci, którzy na placu Ángel sprzedali don Josemaríi obrazek z Najświętszą Maryją Panną, a także opowiadanie Tomása Alviry, który widział, jak zatrzymano pewną osobę «dlatego, że znaleziono przy niej medalik z Najświętszą Maryją Panną» (por. Tomás Alvira Alvira, RHF, T-04373, s. 2). Wszystko działo się latem i jesienią 1937 roku.

[12] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 126.

[13] Por. Antonio Vázquez Galiano, *Tomás Alvira. Una pasión por la familia. Un maestro de la Educación*, Madrid 1997, s. 80.

[14] Por. Tomás Alvira Alvira, RHF, T-04373, s. 1; Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 125.

[15] Por. Recaredo Ventosa García, *Testimonios...*, s. 421; Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 128; Santiago Escrivá de Balaguer y Albás, *Sum.* 7344; Álvaro del Portillo, *Sum.* 889.

[16] Por. Álvaro del Portillo, *Sum.* 901.

[17] Por. list Domingo Díaz-Ambrona do mons. Álvaro del Portillo, z 9 I 1992, przywołany w: Álvaro del Portillo. *Entrevista sobre el Fundador del opus Dei*, Madrid 1993, s. 35-37.

[18] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 121 (Juan zwykle jadał w pensjonacie José Maríi Albaredy) oraz Enrique Gutiérrez Ríos, *José María Albareda, una época de la cultura española*, Madrid 1970, s. 109. Od pewnego już czasu założyciel Opus Dei codziennie intensywnie modlił się w intencji Albaredy: *José Maríi Albaredzie powiedz, że szczególnie o nim pamiętam, każdego dnia* – pisał do Isidoro Zorzano (list, w: EF-370701-3).

[19] List do jego synów w Walencji, w: EF-370910-1. *Kontynuuję moje dawne zwyczaje: woda, wino, chleb, bez ustanku* – tzn. udzielam chrztów i odprawiam msze.

[20] Por. List do jego synów w Walencji, w: EF-370406-1. Po tym jak Álvaro schronił się w jednym z lokali należących do Ambasady Finlandii, która została zajęta przez milicjantów, został on wtrącony do

więzienia San Antón, skąd przyniósł interesującą anegdotę. Znajdował się tam pewien strażnik, nazywany Petrov, który kiedyś przystawił mu do skroni pistolet i zapowiedział, że mógłby go teraz zabić, gdyż na pewno jest księdzem. (Álvaro nosił okulary i dla tego człowieka było to jednoznaczna oznaką uczoneści osoby duchownej). Por. Álvaro del Portillo, *Sum.*, 884. Petrov – lub Petrof – był to pseudonim Santiago del Amo (por. Javier Cervera Gil, *op. cit.*, s. 80).

[21] List Isidoro do Maríi Dolores Fisac Serny, 8 IX 1937 (IZL D-1213, 265).

[22] Por. Ricardo Fernández Vallespín, RHF, T-00162, s. 37.

[23] List Isidoro do Maríi Dolores Fisac Serny, 21 VIII 1937 (IZL D-1213, 254) oraz list Ojca do jego synów w Madrycie, w: EF-370725-5.

* Żartobliwa nazwa własna, ukuta od *pipis* – (hiszp.) pcheł – przyp.

[24] *To prawdziwy raj dla karaluchów*
– pisał Ojciec ku rozrywce Walencjan
– *Te tutaj są wielkie, dostojne i*
błyszczące, jak święte egipskie
skarabeusze. Cały wybór rozmiarów:
najmniejsze niczym główka od szpilki
i stopniowo coraz większe. A jaka
harmonia barw! Jest za co chwalić
Stwórcę: białe, platynowe blond,
koloru tytoniu, złociste, brązowe,
czarne. Już wiecie, że... mamy z nimi
mnóstwo uciechy (List do jego synów
z Walencji, w: EF-370701-2; por. także
listy do Pedra Casciaro Ramíreza, w:
EF-370727-3 oraz do Isidora Zorzano
Ledesmy, w: EF-370420-1 itp.).

Przy innej okazji pisał: *Dziś, kiedy*
Eduardo otworzył książkę, znalazł
wspaniałą pluskwę. Co tam!
Przynajmniej karaluchy nie będą
narzekały na brak towarzystwa (list

do jego synów z Walencji, w:
EF-370725-3).

[25] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF,
T-04152-III, s. 119.

[26] List do jego synów w Walencji,
w: EF-370725-3. Na temat potrzeby
częstego oddawania moczu na skutek
lekkiej cukrzycy, na którą
prawdopodobnie cierpiał już w 1936,
pisze mons. Álvaro del Portillo.

Wspomina, że ksiądz pewnego dnia
znalazł się na ulicy Serrano i odczuł
potrzebę. Poszedł do domu Isidoro
Zorzano, który mieszkał w pobliżu.
Zadzwoił do drzwi, lecz kiedy
otworzyła mu matka Isidora, tak
bardzo przestraszyła się przyjęcia
pod swój dach księdza, że
zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.
Kiedy indziej w podobnej sytuacji
udał się do domu don Alejandra
Guzmána. Por. Álvaro del Portillo,
Sum. 889, 890.

[27] Santiago Escrivá de Balaguer y Albás, *Sum.* 7326 i RHF, T-07921, s. 19.

[28] Juan Jiménez Vargas, RHF-T-04152-III, s. 139.

[29] *Ibidem.*

[30] Santiago Escrivá de Balaguer y Albás, RHF, T-07921, s. 20.

[31] Świadectwo doktora Vargasa, tak dokładne w innych punktach, tu ogranicza się do tego, o czym opowiada Santiago Escrivá. Vargas powiada, że owe panie „nie pojawiły się więcej. Nie było też potwierdzenia tej wieści” (Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 69). D. Josemaría utrzymywał, że tego człowieka „powiesili przed domem” na ulicy Doctor Cárceles, gdzie mieszkała donia Dolores, co by znaczyło, że nie mogły o tym nie wiedzieć przynajmniej matka i

córka. Miało to miejsce
prawdopodobnie w sierpniu.

[32] List do jego synów w Walencji,
w: EF-370918-1.

[33] *Droga*, nr 743.

[34] List do jego synów w Walencji,
w: EF-370918-1.

[35] *List z 31 V 1943*, nr 45.

[36] Javier Echevarría, *Sum.* 2418
oraz Álvaro del Portillo, *Sum.* 877.

[37] List do Dolores Fisac Serny, w:
EF-370919-1.

[38] Por. Antonio Vázquez Galiano,
op. cit., s. 85.

[39] Por. Tomás Alvira Alvira, RHF,
T-04373, s. 2; Joaquín Alonso
Pacheco, *Sum.* 4636.

[40] Juan Jiménez Vargas, RHF,
T-04152-III, s. 128.

[41] Bardzo optymistycznie, miał nadzieję, że poprowadzi medycję dla 16 – 18 osób. Por. list do jego synów w Walencji, w: EF-370924-1. Sprawa, którą don Josemaría powierzył Isidorowi, by nie stracić kontaktu z Hermógenes, było sprawdzenie, co się stało z pewnymi dokumentami, których don Lino Veas-Murguía nie zdołał złożyć do depozytu bankowego. Rewolucja oraz zabójstwo don Lina 16 sierpnia 1936 zatarły ślad po tych dokumentach. Por. list do Isidora Zorzano Ledesmy, w: EF-370828-1 oraz list Isidora do uchodźców w poselstwie Hondurasu, z 16 VIII 1937 (IZL D-1213, 251).

Jak wspomina Isidoro: „Ciocia Carmen przesłała swoim siostrzeńcom kilka obwarzanków upieczonych przez Hermógenes i przez nią” (List Isidora do uchodźców w poselstwie Hondurasu, z 31 V 1937, w: IZL D-1213, 180).

Hermógenes była osobą, która miała posłużyć jako kontakt, aby zebrać uczestniczki rekolekcji.

[42] List do jego synów w Walencji, w: EF-370918-1.

[43] Ogółem liczba zamordowanych zakonnic, z których wszystkie zostały zidentyfikowane, wynosi 283; por. Vicente Cárceles Ortí, *La persecución religiosa...*, s. 238-239.

[44] Por. Javier Suárez Guanes, RHF, T-05399, s. 36. Kobieta ta nazywała się María Teresa Villanueva Labayen. Była córką ministra z okresu monarchii, Miguela Villanuevy. Poznała założyciela Opus Dei w Patronacie Chorych. W 1931 roku wstąpiła do hieronimitek od adoracji i przeniosła się do Gijón. Wróciła do Madrytu wskutek rewolucji październikowej roku 1934. W czasie wojny domowej przebywała w stolicy, pomagając z narażeniem życia katolikom. Zmarła

w 1942 roku. Udało się określić jej tożsamość, gdyż Ojciec pokazał ją jednemu z siostrzeńców Marii Teresy, dyplomacie, który w latach 50-tych mieszkał w Rzymie.

[45] Por. Álvaro del Portillo, *Sum*. 889. Na temat działalności o charakterze religijnym, jaka była prowadzona w mieszkaniu przy ulicy Hermosilla, pod numerem 12, znanym jako „Katedra Hermosilla”, por.: Antonio Montero, op. cit., s. 104; José Luis Alfaya Camacho, op. cit., s. 139-143 oraz Javier Cervera Gil, op. cit., s. 191 i 371.

[46] Por. List z Ávili do jego synów w Burgos, w: EF-380813-1.

[47] Ascensión Quiroga Barrena, RHF, T-04388, s. 1.

[48] *Ibidem*, s. 2; por. Joaquín Alonso Pacheco, *Sum*. 4638.

[49] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 125.

[50] *Twoje światło, Jezu* – napisze w jednej z Katarzynek z 11 I 1938. – *Pozwoliłeś mi jasno zobaczyć, że to nie dzięki mojej intuicji, lecz dzięki Twojemu oświeceniu udało mi się trafić moimi słowami do tej odłączonej zakonnicy podczas rewolucji. Poruszona, wypowiedała się u mnie i żałowała za to, co ja – grzesznik, grzesznik – zdawało się, zgadłem (Apuntes, nr 1482).*

[51] List do Isidora Zorzano Ledesmy, w: EF-370805-2.

* Jest to element szyfru, koniecznego dla zmylenia cenzury . Don Josemaría podawał się za obywatela Hondurasu – przyp. tłum.

[52] List do jego synów w Walencji, w: EF-370505-4.

* Manolo – (hiszp.) zdrobnienie od Manuel. Tu: chodzi o Boga – przyp. tłum.

[53] List do jego synów w Walencji, w: EF-370725-3.

[54] List do jego synów w Walencji, w: EF-370825-1.

[55] List do jego synów w Walencji, w: EF-370822-2.

[56] List do Manuela Sainz de los Terreros Villacampa, w: EF-370825-2.

[57] List do jego synów w Madrycie, w: EF-370505-5.

[58] Álvaro del Portillo, *Sum.* 907; por. także Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 134.

[59] List do jego synów w Walencji, w: EF-370918-1.

[60] Por. RHF, D-15068.

[61] Por. RHF, D-15069.

[62] W liście Isidora do uchodźców przebywających w poselstwie Hondurasu z 21 VIII 1937 (IZL, D-1213, 255), gdy mowa o dokumentach potrzebnych założycielowi Opus Dei do opuszczenia Poselstwa i poruszania się po ulicy względnie bezpiecznie, czytamy: „Alvira powiedział mi, że oficjalnie zostały anulowane zaświadczenia pracy dla pomocników w kancelariach adwokackich. Trzeba więc postarać się o inne zaświadczenie”. Niemal identyczny jest zapis Isidora w jego dzienniku, pod tą samą datą (por. IZL D-1122).

[63] Por. RHF, D-15067 oraz list do swoich synów w Madrycie, w: EF-370723-1.

[64] RHF, D-15067. O to drugie zaświadczenie doktor Suils został poproszony, aby komitet kontroli

mieszkańców w domu przy ulicy Caracas pozwolił mu zamieszkać wraz z matką, czego nie udało się osiągnąć, gdyż d. Álvaro González Valdés nie uznał tego za właściwe (por. listy do Isidoro Zorzano Ledesmy, w: EF-370820-1 oraz EF-370823-1).

[65] Por. RHF, D-15070.

[66] Por. RHF, D-15071.

Ten dokument zawierał dwie kolumny sentencji i maksym programowych, mających służyć członkowi syndykatu jako materiał do przemyśleń, np.: „Twoje wyzwolenie musi być twoim własnym dziełem”, „Nie upokarzaj się przed niczym ani przed nikim”, „Twoją ojczyzną jest świat. Twoją rodziną jest ludzkość.”, itp. Możliwe, że don Josemaría przeglądał te rzędy nic nieznaczących i nadętych sentencji, by wynieść dla siebie jakąś korzyść, lub – przeciwnie – by

odwrócić ich znaczenie. Inne z tych maksym miały już charakter otwarcie marksistowski i mówiły o walce klas, bez możliwości innej interpretacji.

[67] Por. Álvaro del Portillo, *Sum.* 903 oraz Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 112.

[68] Z punktu widzenia sprawiedliwości historycznej należałoby zaznaczyć, że nie wszyscy związani z rządem republikańskim byli wrogami Kościoła, ani że nie można ich w ten sposób określać. Ważne jest, by mieć na względzie to, jak ciężki wstrząs stanowiło powstanie wojskowe dla życia w Hiszpanii, a zwłaszcza dla tej części kraju, gdzie się nie powiodło – spowodowało tam to, czemu chcieli zapobiec – rewolucję anarchistyczną i socjalistyczno-marksitowską. Na skutek tego, kiedy faktycznie państwo republikańskie przestało

istnieć w sierpniu 1936 roku, przekonani republikanie (wśród nich wielu agnostyków, ale nie antykatolików), pragnąc bronić Republiki, nie mieli wystarczających środków wojskowych i sądowniczych, by zapewnić system, który sami nazywali reżimem wolności. Ich los był bez wątpienia tragiczny. Jednak nie byli antykatolikami. Bardziej problematyczna była sytuacja osobista i moralna nacjonalistów baskijskich oraz członków niewielkiej katalońskiej partii chrześcijańsko-demokratycznej, Unii Demokratycznej Katalonii (*Unió Democràtica de Catalunya*) Carrasca y Formiguery.

[69] Por. Álvaro del Portillo, *Sum.* 903.

[70] W pierwszych dniach maja 1937 roku ulice Barcelony stały się sceną prawdziwej wojny

domowej, którą stoczyły ze sobą milicje różnych sił politycznych. W walkach zginęło 400 osób, a ponad 1000 osób zostało rannych. W tych walkach ulicznych zaangażowani byli socjaliści i komuniści, nacjonałiści katalońscy i anarchiści, staliniści i trockiści. W ostatniej chwili rząd wysłał z Walencji siły powietrzne, kolumnę zmotoryzowaną oraz dwa niszczyciele z oddziałami desantowymi, by przywrócić porządek.

Na skutek tych walk upadł rząd Largo Caballero i nowy gabinet utworzył Negrín. Zostali z niego wykluczeni anarchiści i antystaliniści. Rozpętały wtedy się nowe prześladowania polityczne i religijne, wzorowane na metodach bolszewickich, ze stosowaniem w „czekach”. Anarchiści i trockiści byli systematycznie prześladowani i eliminowani. Pod dyktando Stalina i

wedle wskazówek sowieckich zostali oni przedstawieni opinii publicznej i rządowi jako niepożądane elementy infiltrowane przez wywrotowych agentów pozostających na usługach „zrewoltowanych” frankistów. Por. Burnet Bolloten, op. cit., s. 525-730 oraz Ramón i Jesús Salas Larrazabal, *Historia General de la ...*, s. 225-231 oraz 246.

[71] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 129, który błędnie umieszcza to zdarzenie „pod koniec lata 1937”.

[72] Tomás Alvira Alvira wspomina na ten temat: „Na Castellana stał i nadal stoi budynek Ubezpieczalni. Ponieważ ma on na piętrze wielki zegar, popularnie był nazywany „Domem pod Zegarem”. Ten budynek był „kontrolowany” przez CNT i wykorzystywany przez „CNT Oświaty”. CNT nie miało Syndykatu Oświatowego w Madrycie i pewna

grupa profesorów zaoferowała się taki związek zorganizować, co zostało zaakceptowane. Do tego związku wstąpiło wielu profesorów prawicowych, a między innymi wielu księży, zakonników i zakonnice, profesorów kolegiów. To był sposób na uzyskanie dokumentów. W skład rady wchodził m.in. ksiądz Manuel Mindán, który po wojnie był profesorem filozofii w Instytucie „Ramiro de Maeztu”. Był Aragończykiem i znał Ojca z seminarium. Ja kilka razy byłem w tym „Domu pod Zegarem”, gdzie spotykałem znajomych z powodów zawodowych” (RHF, T-04373). Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 129-130 oraz 135-138. Por. także Manuel Mindán Manero, *Testigo de noventa años de Historia. Conversaciones con un amigo en el último recodo del camino*, Zaragoza 1995. W rozdziale XV na stronach 339-350 opowiada on historię

założenia i działalności Syndykatu Oświatowego CNT.

Na ten temat Javier Cervera wspomina, że od chwili rozpoczęcia się wzajemnych wrogości po stronie republikańskiej, CNT starało się pozyskać członków w Madrycie, aby w ten sposób zyskać na znaczeniu, którego nie miało (stale trwała jego walka z UGT, aż do chwili podpisania paktu w 1938 r.). Podobny wniosek wypływa z tego, co pisze Burnet Bolloten, op. cit., oraz José Luis Alfaya Camacho (op. cit., s. 155-158) na podstawie świadectw zebranych z literatury przedmiotu oraz własnych doświadczeń.

„Ten cel, by zyskać odpowiednio silną pozycję, pociągnął ze sobą rozluźnienie, jeśli w ogóle nie zanik wszelkich prób kontroli politycznej lojalności nowo przyjmowanych osób. Chodzi o to, że z trudem można znaleźć jakieś przypadki

nielojalności lub infiltracji w innych organizacjach Frontu Ludowego, z wyjątkiem anarchistycznej. Ta sytuacja spowodowała niejeden konflikt w ramach Junty Obrony Madrytu między komunistami (...) a przedstawicielami anarchistów, którym wielokrotnie wytykano, jak niebezpieczna jest sytuacja, której oni wielokrotnie nie chcieli przyjąć do wiadomości. Pomimo to, przeciwstawiając się tym działaniom, sama CNT stworzyła w swoim Komitecie Obrony Sekcję Statystyki, kierowaną przez Vicente Santamaría Medinę, który stał także na czele Podwydziału Kontrwywiadu Służb Specjalnych Ministerstwa Wojny. Tej sekcji komitetu CNT powierzono zadanie zbierania podań od nowo wstępujących członków związku, aby zlokalizować nieodpowiednich lub podejrzanych członków w jego szeregach” (Javier Cervera Gil, op. cit., s. 225-226).

[73] List Isidora do uchodźców w poselstwie Hondurasu, 4 VI 1937 (IZL, D-1213, 182). José María Albareda posłużył się znajomościami Tomása Alviry, aby uzyskać zaświadczenie o pracy dla Carmen Escrivy, jak wspomina sam Tomás: „Kiedy mi opowiedzieli o sytuacji, w jakiej się znalazła babcia [tak członkowie Opus Dei określali matkę swego duchowego Ojca – przyp. tłum.] i ciocia Carmen, poszedłem poprosić o zaświadczenie, w którym byłoby napisane, że ciocia Carmen pracowała w administracji Syndykatu Oświatowego. Musiałem ich troszkę naciskać, ale w końcu, dowiedziawszy się, dlaczego o to proszę, wydali mi je. W nim można było przeczytać, że jest maszynistką w Pierwszej Sekcji Oświatowej tej instytucji. [...] Przyniosło to spodziewany skutek, gdyż w kilka dni później zjawili się milicjanci, by je zabrać do Walencji, ale wobec takiego ulokowania cioci Carmen,

zostawili je w spokoju” (RHF, T-04373).

[74] List Isidora do uchodźców w poselstwie Hondurasu, 4 VI 1937 (IZL D-1213, 182).

[75] List do Isidora Zorzano Ledesmy, w: EF-370624-2.

[76] Z początku uzyskaniem legitymacji studenckiej dla Santiago zajął się José María Albareda. Jego opinia na temat powodzenia tych usiłowań, jak pisał Isidoro, „nie tchnęła optymizmem, gdyż brakowało poręczeń gwarantujących tożsamość studenta, które są sprawdzane przez dzieciaki z FUE” (por. list do uchodźców w poselstwie Hondurasu, z 7 VI 1937, w: IZL D-1213, 187). W końcu José María Albareda zlecił to Tomásowi Alvirze, który to załatwił, jak czytamy w jego własnym świadectwie: „Załatwiłem legitymację dla wujka Santiago w

tym samym Syndykacie CNT, z którego miał odpowiednie dokumenty, by móc poruszać się po ulicach” (RHF, T-04373).

[77] 18 lipca Ojciec pisał do swoich synów w Walencji: *Wczoraj wieczorem z radością, którą możecie sobie wyobrazić, wujek Santí wyszedł, by zamieszkać z babcią. Już nie wiem, od ilu miesięcy nie byli razem. Ja też jestem bardzo zadowolony, bo czuję się swobodniej* (EF-370718-1). Por. także list Isidora do uchodźców w poselstwie Hondurasu z 20 VII 1937 (IZL D-1213, 226). Santiago Escricvá de Balaguer stwierdza w swoim świadectwie: „Jako pierwszy opuściłem poselstwo Hondurasu. Tomás Alvira załatwił mi legitymację CNT i jeszcze inną, z Ateneo Libertario. Przeniosłem się na ulicę Caracas, by zamieszkać z matką i Carmen. Z moją legitymacją mogłem często chodzić do poselstwa, odwiedzać ich i zanosić różne rzeczy.

Wchodziłem wejściem dla służby, a milicjanci pilnujący wejścia nigdy nie robili mi problemów” (RHF, T-07921).

Wszystko to było owocem uporu i modlitw Ojca oraz posłuszeństwa jego synów, którym gratulował listownie: *Jak dobrze, że tak się stało z wujkiem Santí. Jak dobrze jest być posłusznym! Jak tylko wszystko zostało dokładnie zrobione tak, jak dziadek prosił, wszystko było załatwione. Dzięki D. Manuelowi* (List do jego synów w Madrycie, w: EF-370714-3).

[78] List do Pedra Casciaro Ramíreza, w: EF-370727-3.

[79] Pierwsza wzmianka na temat usiłowań uzyskania legitymacji dla don Josemaríi oraz Juana Jiméneza Vargasa znajduje się w korespondencji prowadzonej przez Isidoro (list do uchodźców w poselstwie Hondurasu, 13 V 1937, IZL D-1213, 151). „Syndykat: Albareda

zaczął się starać o legitymacje związkowe; chciałby wiedzieć, czy w tej Ricarda ma on figurować jako prawnik, czy jako urzędnik”. 17 czerwca (EF-370617-1) założyciel Opus Dei pisał do Walencji: *Jeśli Eugenio wyśle im list żelazny na przejazd do Walencji, bo obaj będą mieli dokumenty w porządku (legitymację związkową oraz świadectwo pracy z fotografią), José i Ricardo jak najszybciej przyjadą do Walencji, aby świadczyć swoje usługi ojczyźnie* (José i Ricardo to sam założyciel Dzieła Bożego i Juan).

[80] Por. Enrique Gutiérrez Ríos, op. cit., s. 108.

[81] Por. Álvaro del Portillo, *Sum.* 908; Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04151-III, s. 136.

[82] W przeddzień wyjazdu do Barcelony Manolo Sainz de los Terreros dostał 3 000 peset dzięki hojności rodziny Corchado, jego

sąsiadów z ulicy Sagasta,. Była to spora suma, w tym okresie odpowiadająca mniej więcej rocznej pensji niewykwalifikowanego robotnika. Na temat pomocy świadczonej przy tej oraz przy poprzednich okazjach dla osób z Dzieła por.: Juan Jiménez Vargas, *ibidem*, s. 140; także IZL D-01051 oraz D-01199.

Można by bardzo długo wymieniać działania podjęte dla uzyskania pieniędzy potrzebnych do pokrycia kosztów związanych z przejściem do strefy narodowej. Trzeba mieć na uwadze, że zarówno José María Albareda, jak i Tomás Alvira, którzy otrzymywali pensję od państwa, wnieśli swoje oszczędności. Poza tym Juan Jiménez Vargas, Manuel Sainz de los Terreros, Pedro Casciaro, Francisco Botella oraz Miguel Fisac otrzymali pomoc ze strony swych rodzin i przyjaciół, zarówno z Madrytu, jak z Walencji i Daimiel.

Poza tym pozostawała reszta kapitału przeznaczonego jeszcze przed wojną, do zainstalowania się w nowej Rezydencji przy Ferraz 16 i na spłacenie pierwszych rat za ten budynek, z którego nie można było korzystać z powodu wybuchu wojny. To były źródła pieniędzy, które uzupełniano dzięki jednorazowym sporadycznym wpłatom przyjaciół i znajomych, aż do chwili wyruszenia w kierunku Pirenejów. Mimo wszystko brakowało jeszcze pewnej sumy pieniędzy, potrzebnej na opłacenie przewodników wyprawy, którą wpłacono później, już po zakończeniu wojny.

[83] José María Albareda uzyskał zezwolenie na podróż, prosząc wprost podsekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych (*Gobernación*), człowieka surowego, profesora rolnictwa i kolegę z Instytutu, którego nie widział od chwili wybuchu wojny. Bibiano

Fernández-Osorio, bo o niego chodzi, miał dobre serce i widocznie musiał rozumieć powód wyjazdu Albaredy – ten chciał zobaczyć matkę, która straciła męża i jednego z synów, zabitych przez milicjantów.

Inne poręczenia zostały sfałszowane, jak np. to Manola Sainz de los Terreros, które sporządził na papierze firmowym dyrektora więzienia San Antón, aby potwierdzić, że musi on odbyć podróż do Barcelony z powodów służbowych (Manolo pracował jako funkcjonariusz w tym więzieniu). Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-II, s. 137-138.

[84] List do jego synów w Walencji, w: EF-371001-1.

[85] Oryginał dokumentu: RHF, D-15072.

[86] Por. AGP, P03 1981, s. 367.

[87] Por. Álvaro del Portillo, *Sum.* 901.

Na temat śmierci don Ramóna 15 października Isidoro napisze do Walencji: „Wczoraj poszedłem odwiedzić rodzinę Alvarita, lecz tak się stało, że byłem przy śmierci jego ojca. Álvaro nie może wychodzić z domu, gdzie się schronił, gdyż ma nadzieję, że dzięki jego pośrednictwu będą mogli pojechać za dziadkiem” (List Isidora do Pedra Casciaro Ramíreza i Francisca Botelli Raduána, 15 X 1937 (RHF, D-1213, 270). „Domem” jest konsulat. Por. także list do Maríi Dolores Fisac Serny, 15 X 1937, oraz list do założyciela Opus Dei, 17 X 1937 (IZL, D-1213, 271 oraz 273), zawiadamiający Ojca o zgonie don Ramóna.

[88] List Isidora do Maríi Dolores Fisac Serny, 9 X 1937, (IZL- D-1213, 268).

[89] Juasn Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 140 oraz Eugenio Sellés Martí, RHF, T-02012, s. 1.

[90] „Ważna nowina to jest taka, że Ojciec miał przyjechać następnego dnia, aby jechać dalej do Barcelony” (Francisco Botella Radúan, RHF, T-00159/1, s. 23).
Bardzo krótki list, który napisał z Madrytu, powiadał: *Pozdrowienia, i powiem ci tylko, że jutro, w piątek, przyjadą do Walencji moje siostry. Zawsze Twój, Mariano* (List do Francisca Botelli Radúana, w: EF-371007-1).

[91] Remonta – jednostka zajmująca się skupem, chowem i opieką nad końmi i mułami przeznaczonymi dla armii.

* (łac. dosł.) Modlitwy – tu: modlitwa odmawiana przez członków Opus Dei – przyp. tłum.

[92] Por. pierwsze strony *Dziennika przejścia przez Pireneje*, w którym Juan Jiménez Vargas opisuje swój wyjazd z Madrytu 6 października, przybycie do Walencji i późniejszy wyjazd z Barcelony, by zgromadzić Walencjan, którzy przyłączyli się do ekspedycji. Dziennik zostaje wznowiony 19 listopada 1937 i kończy się opisem pobytu w Andorze, 10 grudnia. Podczas pobytu w baronii Rialp ci, którzy towarzyszyli Ojcu na zmianę opisywali wydarzenia dnia. Ten dziennik został przeredagowany w Andorze, gdzie uwzględniono krótkie notatki sporządzone podczas marszu.

W następnym roku, gdy Ojciec przebywał w Burgos, sporządził maszynopis z tych notatek, nadając dziennikowi tytuł *Droga do wolności (Camino de Liberación)*. Podczas tej operacji dodał pewne wyjaśnienia lub wyrzucił kilka słów. Niektóre

wersje zawierają, jak zobaczymy, wzmianki o aspektach wewnętrznych jego zachowania i życia duchowego. W innych przypadkach, jak opowiadał Ojciec Ricardowi Fernández Vallespínowi, dokonał pewnych przeróbek: *Zachciało mi się przepisać na maszynie dziennik Drogi do wolności. Oczywiście musiałem wyrzucić zdania nadto obrazowe* (List z Burgos, w: EF-381010-3).

W rękopisie znajduje się 71 kart, zapisanych dwustronnie. Po przepisaniu pozostało 61. Dziennik jest cytowany wedle kart, zaś *Droga wyzwolenia* według stron. Oba oryginały znajdują się w: RHF, D-15323.

[93] Por. list do Isidora Zorzano Ledesmy z Walencji, w: EF-371009-2.

[94] Na temat tej anegdoty z dokumentami Pedra Casciaro Ramíreza cytujemy rękopis Juana

Jiméneza Vargas: RHF, D-15323 oraz Francisca Botellę Radúana, RHF, T-00159/1, s. 25.

[95] Por. Álvaro del Portillo, *Sum.* 910. Ten ksiądz codziennie zachodził do mieszkania Eugenio Sellésa, by odprawić mszę, gdyż przechowywali tam Najświętszy Sakrament (por. Eugenio Sellés Martí, RHF, T-02012, s. 2).

[96] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 141.

[97] Por. Francisco Botella Radúan, RHF, T-00159/1, s. 25.

[98] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 143 oraz Álvaro del Portillo, *Sum.* 909. W pośpiechu towarzyszącym wyjazdowi z Madrytu do ostatniej chwili nie zdążyli z pójściem do mieszkania przy ulicy Ayala, by zabrać kilka rzeczy, między innymi obrazek Najświętszej Paniienki, kupiony w

sklepiku z ramami i lustrami. Wydaje się, że to diabeł wyładował swoją wściekłość na tym mieszkaniu. Kiedy bowiem Isidoro i Santiago przyszli po obrazek, stwierdzili, że pocisk przebił ścianę, zasypując cały pokój odłamkami. Ten wizerunek przechował się w domu Babci. Potem Ojciec podarował go swemu bratu Santiago, a ten zwrócił mu go później. W końcu obrazek znalazł się w gabinecie Sekretarza Generalnego Dzieła w Rzymie, gdzie zwykł był pracować założyciel (por. Álvaro del Portillo, *Sum.* 889; Juan Jiénez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 143 oraz list do Isidora Zorzano Ledesmy z Barcelony, w: EF-371027-1).

[99] List do jego synów w Walencji, w: EF-370601-1.

* (hiszp.) Rodzaj tradycyjnych słodczy hiszpańskich, przypominających chałwę– przyp. tłum.

[100] List do Isidora Zorzano Ledesmy z Walencji, w: EF-371009-2. Ignacio to Isidoro; Lola to donia Dolores, a „rozmowy z don Manuelem” to jego modlitwy.

* (łac.) Za wstawiennictwem Najświętszej Maryi Panny prosimy o dobrą podróż. Niech Pan będzie w waszej drodze i niech jego aniołowie wam towarzyszą - przyp. tłum.

[101] Por. Francisco Botella Radúan, RHF, T-00159/1, s. 27; Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 145.

[102] Francisco Botella Radúan, RHF, T-00159/1, s. 27.

[103] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 145; Tomás Alvira Alvira, RHF, T-04373, s. 4.

[104] Na temat powyższych anegdot i danych por.: RHF, D-15323 i D-15373; Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 146-148.

[105] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 148.

[106] Por. listy do Isidoro Zorzano Ledesmy z Barcelony, w: EF-371010-1 i EF-371012-1.

[107] List do Isidoro Zorzano Ledesmy z Barcelony, w: EF-371013-1.

[108] Juan Jiménez Vargas, w: „*Camino de Liberación*” (RHF, D-15323, s. 4) mówi o liście wysłanym przez założyciela Opus Dei do Walencji („list został odebrany przez Paco, który zaniósł go Pedrowi, zaraz po wyjściu z koszar”). Jednak wśród korespondencji don Josemaríi tego listu nie ma. Francisco Botella także wspomina o liście („pod wieczór dostaliśmy list od Ojca”. Por.: Francisco Botella Raduán, RHF, T-00159/1, s. 27).

Natomiast znacznie liczniejsze są wzmianki o telegramie, co wyjaśnia

tekst rękopisu powstałego w tym czasie: „czternastego do Barcelony przyjechał Pedro ze wspomnianym już fałszywym zezwoleniem”. Tylko gdyby chodziło o telegram, można by zrozumieć, że wiadomość otrzymał natychmiast, trzy dni wcześniej, tak jak adresaci madryccy. (List Ojca z 13 X 1937 w Madrycie znalazł się 16. W konsekwencji Isidoro przekazał wszystkim instrukcje, by przygotowali dokumenty do “ewakuacji”. Por. list Isidoro do uchodźców w konsulacie Hondurasu z 16 X 1937, w: IZL D-1213, 272).

Gdyby chodziło o telegram, wyjaśniałoby to także, że tekst „telegraficzny”, zaszyfrowany, by zmylić cenzurę, spowodował podjęcie decyzji o zdezerterowaniu z koszar wobec pilności otrzymanej informacji.

[109] Zmiana miejsca zamieszkania w Barcelonie oraz inne szczegóły

rozmowy, jaką odbył 14 października Ojciec z Pedrem, zostały umieszczone w rękopiśmiennej notatce sporządzonej przez Pedra Casciaro (cfr. RHF, D-15374).

[110] Por. Francisco Botella Raduán, RHF, T-00159/1, s. 28. Tego rodzaju kara zaostzonego więzienia uniemożliwiała późniejszy awans, co jednak nie spędzało snu z powiek szeregowcowi Pedro Casciaro.

[111] List Isidora do uchodźców w poselstwie Hondurasu z 21 X 1937 (IZL D-1213, 276). Sytuacja zmieniła się między 13 października (kiedy Ojciec napisał do Isidora) a 14 października (gdy rozmawiał on z Pedrem Casciaro w Barcelonie).

[112] Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-IV, s. 1.

[113] Ibidem, s. 2; także T-04152-III s. 159.

* *Periquillo* – zdrobnienie od imienia Pedro, chodzi o Pedra Casciaro – przyp. tłum.

[114] List do Isidora Zorzano Ledesmy z Barcelony, w: EF-371020-1. Don Ramón – chodzi o ojca Álvара del Portillo. José Ramónto Herrero Fontana.

[115] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 159-160; Rafaela Caballero Alcausa, wdowa de Cornet, RHF, T-00874 oraz Tomás Alvira Alvira, RHF, T-04373, s. 4.

[116] Por. Joan Marqués i Suriñach, *La força de la fe a Catalunya durant la guerra civil (1936-1939)*, Girona 1987. Interesujące są zwłaszcza świadectwa ks. prałata Vicença Nolla i Gili, „Per carrers i places”, s. 131-145; ks. prałata Adolfa Pascual i Arrufat, „L'Esglesia clandestina”, s. 167-195; oraz ks. prałata Ramona Vila i Pujol, “El miliciá de Déu”, s. 253-280.

[117] Por. Antonio Vázquez Galiano, op. cit., s. 94-95.

[118] Por. AGP, P03 1981, s. 596.

[119] Na temat spotkania z Pascuałem Galbe Loshuertos: Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 161-165; Álvaro del Portillo, PR, s. 1130, oraz *Entrevista...*, s. 28. Por. także Antonio Vázquez Galiano, op. cit., s. 95-97. Jako datę odwiedzin Tomása Alviry u Pascuala Galbe w Audiencji Juan Jiménez Vargas wskazuje 15 października.

[120] AGP, P03 1981, s. 597.

[121] Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 165.

[122] Por. AGP, P03 1981, s. 598. Założyciel Opus Dei, jak komentował te wydarzenia prałat Álvaro del Portillo, „zawsze się modlił za duszę tego tak szlachetnego człowieka, który próbował ratować mu życie.

Złożył wiele ofiar w intencji jego duszy, gdy później dowiedział się, że zmarł w wypadku samochodowym na południu Francji.” (Álvaro del Portillo, PR, s. 1130).

[123] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 169.

[124] Por. Francisco Botella Raduán, RHF, T-00159/1, s. 28; Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 177; list Isidora do uchodźców w poselstwie Hondurasu z 29 X 1937 (IZL D-1213, 280).

[125] Por. *La Vanguardia*, Barcelona, 24 X 1937.

[126] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 170 oraz T-04152-IV, s. 2.

[127] Por. *ibidem*, T-04152-III, s. 171.

[128] Por. Antonio Vázquez Galiano, *op. cit.*, s. 93.

[129] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 176. Informacje o „dobrych banknotach” były powszechnie znane. Rząd w Burgos przez Radio Nacional oświadczył, które emisje będą wymienialne po zakończeniu wojny. (por. Pedro Casciaro Ramírez, *Soñad y os quedaréis cortos*, Madrid 1994, s. 99, oraz list Isidora do uchodźców w poselstwie Hondurasu z 15 XI 1937, w: IZL D-1213, 286).

[130] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 178. Zgodnie z instrukcjami otrzymanymi od Ojca w liście z Barcelony z 13 października, Isidoro napisał do Loli Fisac o konieczności podjęcia przygotowań do wyjazdu jej brata Miguela do Madrytu. Por. list Isidora do Marii Dolores Fisac Serny z 19 X 1937 (IZL D-1213, 274). Juan uprzedził te zamiary i zabrał Miguela wraz z Pedrem i Paco do Barcelony.

[131] Por. Francisco Botella Raduán, RHF, T-00159/1, s. 29.

[132] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 181; Francisco Botella Raduán, RHF, T-00159/1, s. 30.

[133] List do Isidora Zorzano Ledesmy z Barcelony, w: EF-371030-1.

[134] Rząd republikański przeniósł się do Barcelony, aby wzmocnić i skonsolidować swoją władzę nad Katalonią, co zdecydowanie nie spodobało się władzom wyłonionym przez *Generalitat*. Mimo wszystko ani ograniczenie samorządu, ani domaganie się preferencyjnego traktowania przez świeżo przybyłe władze, ani nawet rekwizycja budynków na ich siedziby nie były najbardziej dokuczliwymi konsekwencjami tych przenosin. „Przeniesienie siedziby rządu do Barcelony w listopadzie 1937 roku wzmogło konflikty między władzami

centralnymi i regionalnymi w dziedzinie porządku publicznego”. „(...) Najdotkliwiej odczuwany przez wszystkie warstwy społeczne Katalonii był wszechobecny terror policji politycznej SIM oraz jej trybunałów specjalnych, a także aparatu policyjnego kontrolowanego przez komunistów” (Burnet Bolloten, op. cit., s. 913-917 i 861). SIM była służbą kontrwywiadowczą Wojska Ludowego (*Ejército Popular*), kierowaną przez Aleksandra Orłowa, mianowanego przez Stalina szefem sowieckiej NKWD na Hiszpanię. Jego budząca postrach policja zasłynęła brutalnymi metodami w całej strefie republikańskiej. Por. ibidem, s. 897-912.

[135] Por. Pedro Casciaro Ramírez, op. cit., s. 91 i n.; Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 183.

[136] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 161, 183-187; Francisco Botella Raduán, RHF, T-00159/1, s. 32.

[137] List do Isidora Zorzano Ledesmy z Barcelony, w: EF-371106-1.

[138] Por. Francisco Botella Raduán, RHF, T-00159/1, s. 32; Pedro Casciaro Ramírez, op. cit., s. 99-101.

[139] Pedro Casciaro Ramírez, op. cit, s. 100-101.

[140] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s 184.

[141] Francisco Botella Raduán, RHF, T-00159/1, s. 31.

[142] Oto treść tego dokumentu:

«Zezwolenie na podróż

Zezwala się JOSE ESCRIBIE ALBESIE na podróż do Léridy i z powrotem...

w ciągu 30 dni, w celu załatwienia
spraw rodzinnych...

Madryt, 5 października 1937.»

Po dokonaniu poprawek można było
przeczytać:

«na podróż do Léridy i z powrotem
oraz do Oliany (Lérida) i z powrotem
oraz do Barcelony i z powrotem. w
ciągu 30 dni, dla załatwienia spraw
rodzinnych i handlowych.

Madryt, 25 października 1937» (RHF,
D-15125).

Por. także Juan Jiménez Vargas, RHF,
T-04152-III, s. 183 oraz T-04152-IV s.
3. Dodatki maszynowe sprawiały, że
interpretacja tekstu stawała się
trudniejsza. Dzięki wzmiance o
wiosce Oliana, przez którą mieli
przechodzić, usprawiedliwiona
stawała się jego obecność w tej
strefie, gdyby został poproszony o
dokumenty. Natomiast poprzez

rozszerzenie celu podróży o sprawy „handlowe” można było się posłużyć jego dokumentami świadczącymi, że jest intendentem konsulatu Hondurasu.

[143] Por. Francisco Botella Raduán, RHF, T-00159/1, s. 32; Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 172.

[144] List do Marii Dolores Fisac Serny z Barcelony, w: EF-371119-1.

[145] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 156 i 158.

[146] Por. Rafaela Caballero Alcausa, wdowa Cornet, RHF, T-00874.

[147] Por. Pedro Casciaro Ramírez, op. cit., s. 102-104; Francisco Botella Raduán, RHF, T-00159/1, s. 32.

[148] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-IV, s. 2.

[149] Na temat przejścia do Francji przez Pireneje, widzianego z punktu

widzenia Tomása Alviry, zob.
rozdział VI pt.: „*Un hito histórico*”, u
Antonia Vázquez Galiano, op. cit., s.
89-106.

[150] Obszerną relację z ucieczki José
Marí Albaredy przez Pireneje do
Francji znajdziemy u Enrique
Gutiérrez Ríosa, op. cit., s. 118-134.

[151] Por. Francisco Botella Raduán,
RHF, T-00159/1, s. 34; Pedro Casciaro
Ramírez, op. cit., s. 107.

[152] Por. Pedro Casciaro Ramírez,
op. cit., s. 106.

[153] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF,
T-04152-IV, s. 4.

[154] List do Marí Dolores Fisac
Serny z Barcelony, w: EF-371118-1.

[155] Rękopis dołączony do
dziennika przejścia przez Pireneje
pt.: „*Camino de Liberación*”, w: RHF,
D-15323.

[156] Por. Pedro Casciaro Ramírez, op. cit., s. 107; Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-IV, s. 5.

[157] Por. Francisco Botella Raduán, RHF, T-00159/1, s. 36; Pedro Casciaro Ramírez, op. cit., s. 108-109.

[158] RHF, D-15323.

* (łac.) Biała rzeka – przyp. tłum.

[159] Kościół w Pallerols, ze względu na swe niewielkie rozmiary mógł przypominać kapliczkę, ale w rzeczywistości był to kościół parafialny pod wezwaniem Świętego Szczepana. (W użyciu są dwie nazwy miejscowości: Pallerols lub Pallarols, w zależności od źródeł, w formie katalońskiej lub hiszpańskiej). Został on wspomniany w akcie konsekracji katedry w Urgel z roku 839. Budynek istniejący w 1937 roku zbudowany był na planie prostokątnym i został wzniesiony pod koniec XVIII wieku, z poszerzenia i podziału dwu naw

pierwotnej budowli romańskiej. Miał dobudowaną plebanię, połączoną z zakrystią schodami biegnącymi za prezbiterium (cfr. RHF, D-15369).

[160] Pedro Casciaro miał wrażenie, że znajdują się w „jakimś piecu”, a Francisco Botella, że to pomieszczenie przypomina „piec w domu mego dziadka” (por.: Pedro Casciaro Ramírez, op. cit., s. 110; Francisco Botella Raduán, RHF, T-00159/1, s. 35).

[161] 24 sierpnia 1934 przybył do Pallerols proboszcz ks. Joan Porta Perucho (przyjął on święcenia w 1931 i został wówczas wikarym w Peramoli). W 1977 roku nadal pracował w parafii Pallerols oraz w kilku sąsiednich wioskach, prawie już wyludnionych. Jak informuje ks. Joan, w 1934 roku na plebanii przy kościele, a w pobliżu znajdowała się państwowa szkoła, przy której mieszkał jeden nauczyciel, oraz

zagroda chłopska. Jego parafia składała się z 25 rodzin, mieszkających w oddalonych od siebie gospodarstwach.

W święto Świętego Jakuba Apostoła, 25 lipca 1936 roku w Pallerols jeszcze uroczystie obchodzono święto ku czci patrona Hiszpanii. Ale w kilka dni później pojawiły się oddziały milicjantów, którzy spalili księgi parafialne i szaty liturgiczne. W miesiąc później wrócili, zniszczyli ołtarze i figury, które spalili w ognisku przed kościołem (por. RHF, D-05429 oraz D-15369).

[162] Por. Francisco Botella Raduán, RHF, T-00159/1, s. 38.

[163] Ibidem.

[164] Pedro Casciaro Ramírez, op. cit., s. 110. Por. Álvaro del Portillo, *Sum*. 913.

[165] Francisco Botella Raduán, RHF, T-00159/1, s. 38

[166] Por. Álvaro del Portillo, *Sum.* 913. Por. także Ernesto Juliá Díaz, *Sum.* 4244.

[167] Por. Francisco Botella Raduán, RHF, T-00159/1, s. 39; por. także Pedro Casciaro Ramírez, op. cit., s. 111. Jeden z pięciu ołtarzy kościoła był poświęcony Matce Bożej Różańcowej (*Mare de Déu del Roser*). Nabożeństwo maryjne miało długą tradycję w Pallerols, gdyż już w aktach wizytacji apostolskich pojawia się o nim wzmianka (podczas wizytacji z 1575 mówi się o „ołtarzu Matki Bożej, który utrzymuje się z nabożeństwa” – to jest bez stałej renty; a podczas wizytacji z 1717 wspomina się o istnieniu w Pallerols Bractwa Różańcowego). Por. *Actas de visitas pastorales* – rejestr 32, k. 88 – Archivo Episcopal de Urgel.

Wizerunek i ołtarz Matki Bożej Różańcowej zostały spalone w 1936. Proboszcz Joan Porta nie pamięta dokładnie, jak wyglądał ten wizerunek. Pamięta tylko, że bardzo przypominał Matkę Bożą Różańcową z Puig, figurkę z początków XVII w., wysokości niecałego metra, drewnianą, pozłacaną. Maryja była przedstawiona z symboliczną różą w prawej dłoni (por. RHF, D-05429; D-15369).

Podczas wizytacji duszpasterskiej z 1758 roku zanotowano w rejestrze przechowywanym w Archiwum Biskupim w Urgel (rejestr 111, bez paginacji): „Pallerols. – Ołtarze: Poza ołtarzem głównym parafia ta ma także inną kaplicę tej samej wielkości co kościół parafialny, z własnym ołtarzem, pod wezwaniem Matki Bożej Różańcowej, który jest odpowiednio wyposażony w krzyż, świeczniki i inne przedmioty liturgiczne” (por. ibidem). Jeszcze w

1980 roku niektórzy z mieszkańców Pallerols pamiętali, że ołtarz Matki Bożej Różańcowej w retabulum miał wizerunek, na którym Matka Boża była otoczona różami (por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-IV, s. 7).

[168] Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-IV, s. 7.

[169] Pedro Casciaro Ramírez, op. cit., s. 112.

[170] AGP, P03 1978, s. 254-255 oraz P03 1982, s. 27-28. Przy innej zaś okazji mówił: *Kiedy zżerały mnie troski wobec dylematu, czy powinienem przejść na drugą stronę, czy też nie, podczas hiszpańskiej wojny domowej, w samym środku prześladowań, uciekając przed komunistami, nadszedł dowód z zewnątrz: ta drewniana róża. Tak się rzeczy mają: Bóg traktuje mnie jak uprzykrzone dziecko, któremu trzeba*

dać namacalne dowody, ale w sposób zwyczajny (medytacja z 14 II 1964).

Jest pewien szczegół, o którym nie sposób nie wspomnieć. Przepisując na maszynie dziennik prowadzony w tych dniach – *Camino de Liberación*; RHF, D-15323 – założyciel Opus Dei dołączył luźną kartkę, z własnoręczną zapiską składającą się z dwu słów: (*brak dziennika*).

Rzeczywiście w rękopisie, na karcie 17 kronikarz, na którego przyszła kolej — w tym wypadku Pedro Casciaro – kończy opisem śniadania u Vilaró, notując godzinę: „kwadrans po 9, 21 listopada 1937. – P”. Dalej czytamy: – „Poniedziałek 22 listopada. Dzień zaczął się mgliście”. Brakuje więc dokładnie opisu tego, co się zdarzyło w niedzielę 21 listopada i nocą z niedzieli na poniedziałek. Na ten fakt zwraca uwagę *brakująca* zapiska założyciela Opus Dei: (*brak dziennika*)..

[171] *Apuntes*, nr 1440. Notatka nabiera znaczenia, jeśli czytamy ją razem z poprzednią Katarzynką, o następującej treści:

Wtedy, pod wpływem wewnętrznego impulsu, który skrepował moją wolę, powiedziałem Panu: „Jeśli jesteś ze mnie zadowolony, spraw, żebym coś znalazł” i myślałem o jakimś kwiatku albo drewnianej ozdobie ze zniszczonych ołtarzy. Wróciłem do Kościoła (byłem wtedy w zakrystii), rozejrzałem się po tych samych miejscach, które oglądałem wcześniej... i znalazłem natychmiast różę ze złoconego drewna. Poczuję się bardzo szczęśliwy i błogosławiłem Bogu, że mi dał takie pocieszenie wtedy, gdy bardzo się martwiłem, czy Jezus jest ze mnie zadowolony (ibidem, nr 1439, 22 XII 1937).

Historia tej straszliwej próby, jeśli nie szczegółowo, to w zasadniczym zarysie została wielokrotnie

opowiedziana przez założyciela Opus Dei prałatowi Álvaro del Portillo. W obliczu wątpliwości prosił Pana, za wstawiennictwem Najświętszej Pani, o namacalny dowód, o różę, którą zaraz znalazł w kościele (por. Álvaro del Portillo, *Sum.* 913).

[172] Por. dziennik – 22 listopada, RHF, D-15323, k. 18v, s. 16; Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-IV, s. 8.

[173] Por. dziennik – 23 listopada, RHF, D-15323, k. 21, s. 17. „Msza – pisał Tomás Alvira – była dialogowana. Nie zapomnę nigdy tej Najświętszej Ofiary w leśnej świątyni, którą celebrians odprawiał w najwyższym skupieniu, bardzo powoli, zdawał się wkładać całą swoją duszę i całą swoją miłość, szczególnie w momencie Konsekracji. Setki ptaków, zbudzonych pierwszymi promieniami słońca śpiewało nieustająco i swoim śpiewem

uświetniało Msze odprawiane przez Ojca w lesie w Rialp. Zawsze zachowywał jedną konsekrowaną hostię, którą z wielką uwagą przechowywał któryś z członków grupy”. Por. Tomás Alvira Alvira, RHF, T-04373, s. 7.

Ksiądz Josep Lozano i Eritjá, proboszcz z Biscarri, został mianowany administratorem Peramoli w marcu 1936 i wraz ze swoim bratem, księdzem Joaquimem, ukrywał się w niewielkim „baraku” w pobliżu Pallerols. Ksiądz Josep został zamordowany przez kilku żołnierzy wojsk republikańskich podczas odwrotu 24 stycznia 1939 roku. Por. Jesús Castells Serra, *Martirologi de l'Esglesia d'Urgell (1936-1939)*, La Seu d'Urgell 1975, s. 104. Ksiądz Joan Porta Perucho był administratorem Pallerols. Por. *ibidem*, s. 331.

* (łac.) Cała chwała dla Boga – przyp. tłum.

[174] Kartka zapisana przez don Josemarię. Por. dziennik, RHF, D-15323, k. 20v, s. 17.

[175] Dziennik (*Camino de Liberación*) – 19 listopada, RHF, D-15323, k. 12, s. 13.

[176] List Isidora do uchodźców w poselstwie Hondurasu z 24 XI 1937 (IZL, D-1213, 289). Według listów Isidora z listopada i grudnia 1937 roku, w Madrycie pozostali Isidoro Zorzano (który objął przywództwo pod nieobecność Ojca), José María González Barredo i Álvaro del Portillo (przbywający w konsulacie Hondurasu), Vicente Rodríguez Casado (ukrywający się w poselstwie Norwegii), Miguel Bañón Peñalba (który mieszkał wraz z matką) i Eduardo Alastrué Castillo (który wówczas ukrywał się w jednym z madryckich pensjonatów).

Enrique Espinós Raduán, kuzyn Francisca Botelli Raduána, który przechodził załamanie po śmierci swego ojca, służył w wojsku poza Walencją. Rafael Calvo Serer, przydzielony do Brygad Międzynarodowych, znajdował się wówczas w szpitalu z powodu choroby wrzodowej, a José María Hernández Garnica (Chiqui), odbywał służbę wojskową w Baza (prowincja Granada).

*Chodzi o grupę męczenników z pierwszych wieków chrześcijaństwa, którzy ponieśli śmierć zanurzeni w lodowatej wodzie – przyp. tłum.

[177] Pedro Casciaro Ramírez, RHF, T-04197, s. 23; Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-IV, s. 9.

[178] Pedro Casciaro Ramírez, op. cit., s. 123.

[179] Por. dziennik – 25 listopada, RHF, D-16323, k. 27v, s. 22.

[180] Por. *ibidem* – 23 listopada, k. 22v, s. 19.

[181] Por. *Apuntes*, nr 1440, z 22 XII 1937 oraz dziennik – 26 listopada, RHF, D-15323, k. 31, s. 25. Dziekanem Pons był ksiądz Nicolau Auger Ortodó (1865-1942). Por. Jesús Castells Serra, *op. cit.*, s. 311.

[182] Dziennik – 26 listopada, RHF, D-15323, k. 33v, s. 27.

[183] Prowincja Lérida dzieliła się na trzy diecezje: Lérida, Urgel i Solsona. W 1936 roku było 410 kapłanów inkardynowanych do diecezji Lérida. Liczba ofiar sięgnęła 270, to jest 66%. W diecezji Urgel (gdzie znajdowało się Pallerols) kapłanów inkardynowanych było 540, zaś liczba ofiar wynosiła 109, to jest około 20%. W diecezji Solsona z 380 księży zostało zamordowanych 60, czyli około 15,5% (por. Antonio Montero, *op. cit.*, s. 764 oraz Jesús Castells Serra, *op. cit.*, s. 304-305).

- [184] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-IV, s. 1.
- [185] Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-IV, s. 10-11.
- [186] Dziennik – 27 listopada, RHF, D-15323, k. 33v, s. 27.
- [187] Francisco Botella Raduán, RHF, T-00159/1, s. 42. Jest w tym coś więcej. W tym wypadku Juan był opatrznosciowym narzędziem, by podtrzymać Ojca.
- [188] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-IV, s. 11.
- [189] Por. José Boix Oste, RHF, T-01440; Francisco Botella Raduán, RHF, T-00159/1, s. 44.
- [190] Por. Pedro Casciaro Ramírez, op cit., s 116-117.
- [191] José Boix Oste, RHF, T-01440.

[192] Antonio Dalmases Esteva, bo o niego tu chodzi, prowadził dziennik, który zatytułował *Dziennik mojej ucieczki z czerwonej strefy, listopad-grudzień 1937* (*Diario de mi huida de la zona roja, noviembre-diciembre de 1937*); oryginał znajduje się w: RHF, T-08246; por. aneks XVIII. Ten młody student był dobrze zaopatrzony w wiktuały, jak niemal wszyscy z wyjątkiem osób towarzyszących Ojcu, które nie miały nic poza bukłakiem słodzonego wina i butelką koniaku. (Butelka z całą pewnością się stłukła w Ribalera po mszy, kiedy Ojciec chciał poczęstować uczestników łykiem tego trunku). Młodego Katalończyka dotyczy anegdota, mówiąca o tym, że niósł on ze sobą menażkę pełną kurzych nóg. „To mądry chłopak – komentował Ojciec – wynalazł krzyżówkę kury ze stonogą”. Dlatego nazywali go „chłopak-stonoga”.

[193] Dziennik – 28 listopada, RHF, D-15323, k. 37v, s. 29.

[194] Tomás Alvira Alvira, RHF, T-04373, s. 8; Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-IV, s. 12; Pedro Casciaro Ramírez, op. cit., s. 118.

*(hiszp.) *Legua* – hiszpańska mila odpowiadająca 5572 metrom - przyp. tłum.

[195] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-IV, s 16.

[196] Dziennik – 28 listopada, RHF, D-15323, k. 41, s. 31; por. także Tomás Alvira Alvira, RHF, T-04373, s. 8.

[197] Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-IV, s. 18.

[198] Por. dziennik – 29 listopada, RHF, D-15323, k. 42, s. 31.

[199] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-IV, s. 18.

[200] „Nie przyszedłem po to, aby mi słuźono, lecz aby służyć” (por. Mt 20,28).

[201] „Ojciec liczył swoje upadki. Jest ich duűo, bardzo duűo!” – czytamy w rękopisie. Do tego zapisu Założyciel Opus Dei dodał: *Przyjmował je zawsze w dobrym nastroju.*

Dwadzieścia sześć! Dwadzieścia dziewięć! Liczymy je. „Z myślą o naszej pracy, która się zbliűa, wszystko można znieść ze spokojem i radością. Ale są to straszne ciąűy.” – czytamy dalej w dzienniku.

(Dziennik – rękopis i maszynopis – 29 listopada, RHF, D-15323, k. 44v, s. 36).

Tak dobrze zapamiętał tę wspinaczkę, że będąc w latach czterdziestych w La Pililla (w miejscowości Piedralaves), domu znajdującym się u stóp góry, mówił do Paco Botelli: *Od chwili tamtej wspinaczki, Paco, przeszła mi cała ochota na górskie wędrownki*

(Francisco Botella Raduán, RHF, T-00159/1, s. 46).

[202] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-IV, s. 20.

[203] Por. Pedro Casciaro Ramírez, op. cit., s. 123.

[204] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-IV, s. 20.

[205] Dziennik – 30 listopada, RHF, D-15323, k. 45, s. 37.

[206] Por. ibidem; także Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-V, s. 4 i n.

[207] Por. Pedro Casciaro Ramírez, op. cit., s. 122; dziennik – 30 listopada, RHF, D-15323, k. 44v, s. 36.

[208] Por. dziennik, ibidem.

[209] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-IV, s. 17.

Nocą z 29 na 30 listopada, kronikarz zapisał w dzienniku: „Ojciec dziś w ogóle nie spał”; gdy przyszło do przepisania tekstu na maszynie (*Camino de Liberación*), Ojciec wykreślił „tego dnia”, dzięki czemu zdanie stało się jeszcze bardziej surowe: „Ojciec w ogóle nie spał”, jak gdyby chciał podkreślić, że ten brak snu trwał już dłużej. W końcu kolejną noc także spędził na czuwaniu: „Ojciec nie śpi” – powiada dziennik (por. *Camino de Liberación*, RHF, D-15323, k. 44v, s. 35 oraz k. 46, s. 39).

[210] Wydaje się, że Pedro Casciaro zdał sobie z tego sprawę: „Niemal w ogóle nie spał, kiedy odpoczywaliśmy w tych oborach i jaskiniach – wspomina – i zdałem sobie sprawę, że robił to, aby się umartwiać i więcej modlić. To wszystko poruszało mnie, ale równocześnie tego nie rozumiałem i z miłości, jaką go darzyłem, chciałem mu w tym

przeszkodzić” (Pedro Casciaro Ramírez, op. cit., s. 122).

[211] Ibidem.

[212] Dziennik, RHF, D-15323, k. 47v, s. 40.

[213] Por. dziennik, ibidem, k. 50, s. 43 oraz Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-IV, s. 11 i 29.

* (łac.) Witaj Królowo – przyp. tłum.

** (łac.) Bogu niech będą dzięki – przyp. tłum.

[214] Por. Pedro Casciaro Ramírez, op. cit., s. 125.

[215] Post liturgiczny, który trzeba było zachować, by móc przystąpić do komunii, rozpoczynał się poprzedniego dnia o północy. Członkowie ekspedycji w nocy zjedli cukier, potem o świcie jedli przy ognisku, a po dojściu do wioski zjedli jeszcze śniadanie.

[216] Luis Pujol Tubau, RHF, T-00675, s. 2; Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-IV, s. 30. Luis Pujol Tubau, dziekan Andorra la Vieja od roku 1930, miał wówczas 36 lat, święcenia kapłańskie otrzymał w 1925 roku.

* Chodzi zapewne o Honduras – rodzaj szyfru stosowanego ze względu na cenzurę korespondencji – przyp. tłum.

[217] List w: EF-371202-1.

[218] Dziennik, RHF, D-15323, k. 51v, s. 45.

* *Memento* to modlitwa mszalna kanonu rzymskiego, w której wspomina się żywych i zmarłych – przyp. tłum.

[219] Por. dziennik, ibidem, k. 52, s. 45; Pedro Casciaro Ramírez, op. cit., s. 126. Telegram ten głosił, co następuje: *Javier Lauzurica. Biskup Vitorii. Serdeczne życzenia*

imieninowe. Właśnie wczoraj udało mi się uciec wraz z ośmioma moimi ludźmi. Jutro wyjeżdżamy do San Juan de Luz. José María Escrivá (w: EF-371203-02).

[220] List do Isidora Zorzano Ledesmy z Andory, w: EF-371203-1.

[221] Dziennik, RHF, D-15323, k 54, s 47.

[222] Por. Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-III, s. 165.

[223] Por. Francisco Botella Raduán, RHF, T-00159/1, s. 53.

[224] Por. Pedro Casciaro Ramírez, op. cit., s. 126; dziennik, RHF, D-15323, k. 63v, s. 54.

[225] Dziennik, RHF, D-15323, k. 64v, s. 55.

* (fr.)Pan pułkownik – przyp. tłum.

[226] Por. Pedro Casciaro Ramírez, op. cit., s. 126-127.

[227] Dziennik, RHF, D-15323, k. 65, s. 55.

[228] *Apuntes*, nr 1463, z 2 I 1938.

[229] Por. dziennik, RHF, D-15323, k. 59, s. 50.

[230] Dziennik, ibidem.

[231] Oczywiście tę „rebelię” datować trzeba na okres, gdy Fernando de los Ríos był ministrem edukacji publicznej, to jest między grudniem 1931 i lipcem 1933 roku. Od początku wojny ks. biskup Justino Guitart, biskup Seo de Urgel, miał inne problemy: 23 lipca 1936 musiał wyjechać z Hiszpanii, chroniąc się w Andorze. W Księstwie przebywał do 13 sierpnia, gdy z powodu zagrożenia życia musiał wyjechać do Francji (por. Jesús Castells Serra, op. cit., s 265-267).

* (katal.) Dar– przyp. tłum.

[232] Luis Pujol Tubau, RHF, T-00675, s. 5; por. dziennik, RHF, D-15323, k. 66v, s. 57.

[233] *Apuntes*, nr 1463.

[234] Por. *Apuntes*, przypis 1064 sporządzony przez prałata Álvaro del Portillo.

[235] Por. dziennik, RHF, D-15323, k. 69, s. 58.

[236] Por. dziennik, RHF, D-15323, k. 71, s. 61; Francisco Botella Raduán, RHF, T-00159/1, s. 53.

* Tarantin – tytułowy bohater utworu Alphonse’a Daudeta pt. *Tartarin Tarascon*, bujna fantazja bohatera tytułowego pozwalała mu wyobrażać sobie, że poluje na lwy w korytarzach własnego domu. – przyp. tłum.

[237] Por. Pedro Casciaro Ramírez, op. cit., s. 128-129; Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-IV, s. 32.

[238] Por. Pedro Casciaro Ramírez, RHF, T-04197, s. 50; por. także: Francisco Botella Raduán, RHF, T-00159/1, s.54; Tomás Alvira Alvira, RHF, T-04373, s. 10; Álvaro del Portillo, *Sum.* 915.

[239] Juan Jiménez Vargas, RHF, T-04152-IV, s. 33.

.....

pdf | dokument generowany
automatycznie z <https://opusdei.org/pl-pl/article/rozdzial-10-droga-do-wolnosci/> (03-04-2026)